W NUMERZE M. in.: M. BECHCZYC-RUDNICKA—Festiwale moja miłość... M. DERECKI—Tu jest samochód nie uniwersytet... M. A. JAWORSKI — Buchenwald i Weimar, L. SIEMION — Byłem „terenowcem", J. SZYMAŃSKI — Badacz i źródło historyczne, J. WILLAUME—Zdobycie Bastylii

Rok założenia 1933

Kamena

LUBLIN 5.VII.1970 Nr 14 (447) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Romuald Wiśniewski

Wąż Eskulapa, największy z węży żyjących w Europie środkowej, jest dusicielem. Owija swymi splotami ofiarę, gruchocze jej kręgosłup, potem połyka ją i rozłożywszy się gdzieś w możliwie dobrze nasłonecznionym miejscu, drzemie i długo trawi. Jada rzadko, ale dobrze. Groźny jest jednak tylko dla małych zwierząt. Człowieka, nawet niemowlęcia, nie uczyni żadnej krzywdy. Zresztą przed człowiekiem ucieka. Czasem można go jednak zobaczyć. Oczywiście tam, gdzie występuje, czyli w niektórych rejonach górskich oraz na Roztoczu. W górach węży jest coraz mniej, bo coraz więcej turystów, a ci zabijają i eskulapa i równie nieszkodliwego zaskrońca, biorąc wszystkie za jadowite żmije.

Na Roztoczu turystów nie za wielu. Więc tamtejszym wężom na razie nie grozi zniszczenie, podobnie jak i innym osobliwościom fauny i flory. A osobliwości tych jest bez liku, więcej niż w jakiejkolwiek innej krainie geograficznej w Polsce.

Wróciłem właśnie z Roztocza. Jest to wał wyżynny, długości 110 km, szerokości 15—25 km, ciągnący się z północno-zachodu na południowy wschód, od okolic Kraśnika Lubelskiego po okolice Tomaszowa Lubelskiego. Dalsza część Roztocza

Dokończenie na str. 10

„Gdy zadzwoni mój dzwoneczek"

Rozmowa z Kazimierzem Grześkowiakiem

— *Dzień dobry! Urodzony?*

— Urodziłem się w Ostrowie Wielkopolskim 1 marca 1941 r. z ojca Józefa i matki Stefanii z domu Urbaniak.

— *Najmocniejsze wspomnienia z dzieciństwa?*

— Nauczyciel muzyki tłukący moją głowę smyczkiem do skrzypiec; wtedy po raz pierwszy odczułem siłę muzyki.

— *W latach studenckich graliśmy kiedyś w pokera, doszło do niefortunnego dla ciebie „spotkania"; należność usiłowałeś uiścić piętnastoma kłębuszkami pieczołowicie pocerowanych skarpetek, ojcowską koszulą z porem i parą kalesonów. Rozczuliłeś nas początkowo.*

— Od dawna już nie noszę cerowanych skarpetek. A tamten głodny okres wspominam z niewielką sympatią. Bieda jest malownicza tylko w łzawo-dydaktycznych powieściach.

— *Zdobyłeś odrębną pozycję w polskim piosenkarstwie i to w sposób, powiedziałbym, zdrowy: nie powielasz modeli sentymentalnego śpiewania, chwytającego za serce szeroką publiczność, nie jesteś ani drugim Połomskim, ani jednoosobowym „No to co", stylizującym się na folklor. A właściwie zacząłeś swój szybki marsz do krajowej czołówki od knajpy, od udziału w „konkursie na solistę" Lubelskich Zakładów Gastronomicznych, który zakończył się dla ciebie całkowitym sukcesem.*

Dokończenie na str. 6—7

Tu jest samochód nie uniwersytet...

Mirosław Derecki

CO znaczy dobry kierowca... — monologuje pan Edzio. — Dobry, to taki, co ma czucie w krzyżu. Całe czucie kierowcy nie w rękach, lecz w krzyżu. Każdy dołek, każdy kamyczek na szosie, koniec przyczepy w skręcie — musi on wyczuwać plecami. Jak kto nie posiada odpowiedniej wrażliwości — niech idzie do pegeeru świnie wozić. Jedna inteligencja w głowie, druga w plecach, a ręce są do trzymania kierownicy. Ty, Wiesiu, zapamiętaj to sobie, ty się dobrze przyglądaj, co ja robię, ty się ucz myśleć, tu jest samochód a nie uniwersytet.

— Ja bym się bał tutaj usiąść za kółkiem. Strach. Taki ciężar — powiada Wiesio. — Ja w wojsku jeździłem dwa lata na „Starze", ale to, to nie to...

— Żebyś wiedział, Wiesiu, że nie to. Ale ty jesteś inteligentny pomocnik, z ciebie jeszcze ludzie będą, jak się nie zmarnujesz. Ty pamiętaj, bracie, nigdy nie pajacuj na szosie. Nie spiesz się. Pamiętaj, że wieziesz własne życie, a nieraz jeszcze ładunek za milion albo dwa miliony za plecami. Przejedziesz dwieście kilometrów, stań, wyjdź z „chałupy", rozprostuj kości, grzybów na skraju lasu poszukaj. Po pół godzinie jesteś jak drugi raz narodzony. Refleks ci zaraz wraca...

Mijamy ostatnie zabudowania lubelskiej dzielnicy Sławinek. Trasa podróży wiedzie do Wrocławia, przez Puławy, Radom, Piotrków Trybunalski. W kabinie „Jelcza 315" jest nas trzech. Pan Edzio, postać numer jeden — kierowca pierwszej kategorii z uprawnieniami międzynarodowymi. Jowialny, silnie zbudowany blondyn, lat trzydzieści siedem, piętnaście lat „za kółkiem", milion trzysta tysięcy przejechanych kilometrów, posiadacz Brązowej i Srebrnej Odznaki PKS. W życiu prywatnym — głowa rodziny, ojciec dwunastoletniego chłopca.

Postać numer dwa — pan Wiesio. Pomocnik kierowcy. Wysoki, szczupły, milczący. Lat 22. Świeżo „po wojsku", w PKS-ie pracuje od trzech tygodni. Zawód — kierowca trzeciej kategorii. W domu — młodziutka żona i dziecko „w drodze". Trudne warunki mieszkaniowe, finansowa pomoc obydwu rodzin. Teraz pan Wiesio zarabia na swoją pierwszą w życiu pensję. „Ma chłopak posuw do roboty" — stwierdza lakonicznie pan Edzio.

„Wiesiu, zrób to, Wiesiu, zrób tamto". „Robi się, panie Edziu" — odpowiada zawsze pomocnik. Niepisany kodeks obyczajowy kierowców przestrzega skrupulatnie zasad samochodowej hierarchii. Wiesio mógłby mieć lat czterdzieści pięć, ale kierowca i tak by go „tykał". Osoba postronna musi z miejsca orientować się, kto jest w samochodzie pierwszym po Bogu.

Postać „dodatkowa" — reporter „Kameny".

Wnętrze kabiny wygodne, przestronne. Warstwa materiału izolacyjnego na ścianach i suficie chroni przed zimnem i... przed upałem. Dwa wygodne fotele i dwie miękkie ławeczki za nimi. Na tylnej ścianie — składane łóżko z pościelą. Część sypialną można odgrodzić od reszty kabiny firanką. Mimo że coraz więcej placówek PKS posiada hoteliki lub pokoje noclegowe wynajmowane w domach prywatnych, miejsc w nich jest wciąż za mało. I choć kierowca ma prawo do korzystania także z hoteli miejskich, najczęściej — szczególnie latem — noc, która go zaskoczyła na dalekiej trasie, spędza we „własnym" łóżku.

W wyposażeniu kabiny znajduje się również radio. Będzie więc pan Edzio przez cały czas podróży albo

Dokończenie na str. 6—7

Po jubileuszu „Sztandaru Ludu" kilka wspomnień z lat dawnych

BYŁEM „TERENOWCEM"

Leszek Siemion

PODCZAS jednej z pierwszych podróży służbowych, jakie odbywałem na konto zadań zlecanych mi przez redakcję „Sztandaru Ludu", zaskoczyła mnie w terenie wymiana pieniędzy. Powracałem właśnie z hrubieszowskich odłogów i przed południem dobiłem furmanką do jednego z miasteczek. O tak istotnej zmianie gospodarczej sytuacji nie miałem zielonego pojęcia. Nieco zziębnięty wstąpiłem do napotkanej „herbaciarni", aby uzupełnić kaloryczne braki. Lokal był prawie pusty, więc uwagę każdego tym bardziej zwracał człowiek czyniący zakupy przy bufecie. Na pierwszy rzut oka można w nim było rozpoznać przynależność do nowej profesji traktorzystów, którzy wówczas jakoś wyraźnie odróżniali się od wszystkich innych ludzi.

Traktorzyści stanowili szturmową brygadę w przekształcaniu naszej wsi. Jako nowa grupa zawodowa, prawie bez wyjątków wywodząca się ze wsi, dokonywali trójstronnej rewolucji. Po pierwsze — kołami i gąsienicami swych traktorów przeorywali ideowe i materialne przeszkody utrudniające wsi wejście na tory nowoczesności; po drugie — dawali swemu środowisku przykład, jak się wychodzi poza opłotki ojcowskiego gospodarstwa i staje ważnym elementem życia społecznego; po trzecie — na strzępy targali więzy tradycyjnych sposobów życia, bycia i myślenia wsi.

Byli zawadiacy aż do zuchwałości, weseli i głośni, jak ich maszyny. Lubili szastać pieniędzmi, których im nie brakowało, szczególnie na terenach odłogowych. Tam zarobek 100 tys. zł (w starej walucie) w ciągu miesiąca nie był wśród traktorzystów rzadkością. A wydać pieniędzy na tych pustoszach nie było gdzie, jak i kiedy. Ho każdy traktorzysta tyrał bez rachuby czasu, a zaopatrzenie odłogowych terenów stało na poziomie wiejskich handelków z lat przedwojennych i okupacyjnych. W takiej sytuacji znajdował się nasz brat w „herbaciarni". Z niewątpliwie alkoholową swadą dyskutował głośno, zaś rozbawiona panienka zza bufetu usłużnie podawała mu sprawunki — ciastka, cukierki i papierosy, zamawiane całymi pudłami. Zabierał je zaraz pomocnik, wynosił i układał na przyczepie traktora dudniącego pod oknem na wolnych obrotach. Zapłacił rzuciwszy na ladę dosłownie stos banknotów, nowych i noszących wyraźne znamiona ciężkiej pracy traktorzysty. Nawet nie liczył, zaś dziewczyna zza bufetu zrobiła to dopiero po wyjściu klienta.

— Nie orżnął pani? — spytałem z dezaprobatą dla obojga.

Dziewczyna podniosła brwi gestem zdziwienia.

— Ależ, proszę pana, oni zarabiają bez liku, a sam mówił, że chce wszystko wydać. Dziś wymiana pieniędzy...

Zrobiło mi się nijako. Bądź co bądź reprezentowałem „szczebel", a mimo to w sprawie wymiany byłem mniej zorientowany od mieszkańców tych najdalszych kresów, gdzie nie tylko diabeł strzelał na dobranoc. Zdeprymowany pomknąłem do miejscowych notabli, czyli Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Miły przewodniczący wprowadził mnie w arkana sytuacji, wskutek czego doznałem nowej konfuzji — według nowej relacji pieniądza zabrakło mi kilkunastu złotych na opłacenie biletu kolejowego do Lublina. Przewodniczący okazał się nie tylko miły, ale i uczynny, pożyczył mi chętnie 20 zł „do następnego spotkania".

Chociaż nie posiadałem zasobów finansowych, którym mogła grozić dewaluacja, to jednak historia z wymianą pieniędzy tak mnie wytrąciła z równowagi, że niewiele mi zostało z obrazu miasteczka, chociaż pociągało mnie i jako stara kasztelania i jako temat przedwojennego szlagieru. Ot — jakieś ogólne wrażenie sympatyczne, ale mocno mgliste.

Ale gdy mowa o miasteczkach, przekonałem się, że niskie ceny, obfitą ilość i dobrą jakość żywności były niepisanym prawem i przy-

Dokończenie na str. 4—5

teatrnn.pl

Kultura 1970

Zmarli

* W nocy z 14 na 15 VI 1970 r. zmarł w Krakowie znany filozof i estetyk, prof. Roman Ingarden.

* Tragicznie zginął w wypadku samochodowym — 69-letni prof. dr Konstanty Grzybowski, znakomity historyk i prawnik, prezes Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych. Pozostawił po sobie 300 rozpraw naukowych i książek, jak np. „Historia doktryn politycznych i prawnych".

* 74-letnia Elsa Triolet, urodzona w Moskwie, z wykształcenia architekt. Znana pisarka francuska i działaczka międzynarodowego ruchu pokoju, żona L. Aragona. W języku polskim: zbiór nowel „Kochankowie z Avignonu" (1946), powieści: „Upiory pod bronią" (1958) i „Era nylonu" (1961).

* 82-letni Giuseppe Ungaretti, poeta włoski i tłumacz, główny przedstawiciel hermetyzmu, w wersyfikacji szedł śladem futurystów, pod koniec życia nawiązywał do Petrarki. („L'allegria dei naufraghi" 1919, „Sentimento del Tempo" 1933, „La terra promessa" 1950, „Il taccuino del Vecchio" 1960).

* 91-letni E. M. Forster, uważany przez część krytyków za jednego z największych współczesnych powieściopisarzy brytyjskich. Najbardziej znaną powieścią jest „W słońcu Indyj" (w języku polskim w 1938 r.), w której pokazał konflikty społeczne i kulturowe, dzielące społeczność hinduską i angielskich władców kolonialnych.

* 61-letni malarz Vincente de Rego Monteiro, pierwszy z modernistów w Brazylii. Pisał również wiersze. Zmarł na lotnisku, gdy udawał się na otwarcie swojej wystawy w Brasilii.

* W Szwajcarii — 58-letni Adrian Conan Doyle, utalentowany malarz i autor kilku książek naukowych, syn twórcy powieściowego detektywa Sherlocka Holmesa.

Literatura

* Zdobywcami „Złotego Klosa" w plebiscycie „Dziennika Ludowego" zostali: Jerzy Putrament, Wojciech Żukrowski i Arkady Fiedler. Udział w plebiscycie wzięło 400 tys. czytelników.

* Poeta i działacz ludowy Jan Szczawiej obchodzi w tym roku 40-lecie pracy literackiej. Debiutował tomikiem poezji „Miłość tworząca" w 1930 r. Wkrótce wyjdzie w jego opracowaniu antologia „Polska poezja walcząca".

* W Krakowie uroczyście obchodzono 50-lecie działalności Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Z tej okazji Stanisław Lem został udekorowany Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

* W sierpniu „Czytelnik" wyda niezwykłą książkę. Będą to „Wiersze i obrazki" — tekst Juliana Przybosia, rysunki jego dwunastoletniej córki Uty.

* Na międzynarodowym festiwalu książki w Nicei nagrodę Złotego Orła w dziedzinie poezji otrzymał Claude Renard (Francja) za „La Braise et la Riviere", taką samą nagrodę w skali międzynarodowej poeta portugalski Ferreiro de Castro za całość twórczości.

* W całej Anglii uroczyście obchodzono 100 rocznicę śmierci Karola Dickensa. Z tej okazji m. in. w katedrze Westminster koncertował na organach N. Danby, praprawnuk powieściopisarza.

* Akademia Francuska postanowiła opublikować w wydaniu kieszonkowym skrócony słownik języka francuskiego.

Teatr

* Adam Hanuszkiewicz przygotowuje w fińskim mieście Tampere sztukę Strindberga „Panna Julia".

* Aktor i reżyser Maciej Zenon Bordowicz napisał sztukę teatralną pt. „Znajdź kilka szczegółów, którymi różnią się te dwa obrazki". Jest to rzecz dotycząca tragedii wietnamskiej, a szczególnie masakry w My Lai. Prapremiera odbędzie się w Teatrze Polskim w Warszawie.

* W Warszawie występował Teatr im. Rustawelego z Tbilisi, wystawiając na zakończenie widowisko „Dziewięć obrazów" złożone z fragmentów różnych przedstawień, oraz „Antygonę" J. Anouilha.

* Na międzynarodowym festiwalu telewizyjnym w jugosłowiańskiej miejscowości Bled z udziałem delegacji z 17 krajów za najlepsze przedstawienie uznano inscenizację sztuki Czechowa „Wujaszek Wania" w reżyserii Jerzego Antczaka.

* W jednym z teatrów londyńskich wystawiono farsę „Muszkieterowie powracają". Jest to przeniesienie we współczesność — zresztą tylko częściowo — słynnej powieści Dumasa „Trzej muszkieterowie".

Sztuka

* W Karagandzie odbyła się wystawa plakatu polskiego z okresu dwudziestopięciolecia.

* 175 obrazów, rzeźb, rysunków i dzieł sztuki z galerii narodowej w Pradze, ilustrujących sztukę czeską XX wieku, eksponowanych jest kolejno w większych miastach Szwajcarii.

* Od 2 do 18 października odbędzie się w Nicei V międzynarodowa wystawa obrazów i rzeźb, będących dziełem kobiet. Grand Prix otrzyma twórczyni, która nie przekroczyła 30 lat życia, ponadto jest wiele innych nagród. Jury składać się będzie również wyłącznie z kobiet.

Muzyka

* Z okazji swego srebrnego jubileuszu Opera Śląska w Bytomiu wystawiła prapremierę opery Józefa Świdra według libretta Tadeusza Kaszczuka i Tadeusza Kijonki — „Magnus". Akcja toczy się we współczesnym Wrocławiu, puszczy nad Odrą w XI w., zamku piastowskim itp.

* W połowie czerwca odbył się w Krynicy IV festiwal arii i pieśni, w pierwszych dniach lipca w Połczynie IV festiwal piosenki żołnierskiej.

* Dyrektor Filharmonii Pomorskiej Zbigniew Chwedczuk dyrygował cyklem koncertów na Kubie.

* W Mongolskiej Republice Ludowej uroczyście obchodzono 50-lecie urodzin najwybitniejszego muzyka tego kraju — B. Damdinsurena, kompozytora, dwukrotnego laureata nagrody państwowej.

* W Mezieres odbyła się prapremiera — w formie koncertowej — nowej opery szwajcarskiej „Ischa" Piotra Kaelina. Niemal cała muzyka utrzymana jest w stylu jazzowym, co nie zachwyca krytyków.

* „Wcale nie zachwycam się piosenkami, które dotychczas wykonywałem. Chciałbym śpiewać o ważniejszych sprawach, o tym, czym naprawdę żyje obecny świat" — przyznał samokrytycznie piosenkarz włoski Gianni Morandi, który sprzedał już 12 mln płyt.

* Muzyk belgijski, Claude Carrere, został skazany przez sąd za plagiat pewnego utworu. Po wyroku zaangażował on kilku muzyków, którzy badają tysiące kompozycji powstałych po 1930 roku, aby udowodnić, że muzyk, który wygrał z nim proces, sam był plagiatorem.

* W grudniu odbędzie się w Katowicach pierwszy ogólnopolski konkurs młodych dyrygentów. Warunkiem uczestnictwa jest posiadanie dyplomu dyrygentury PWSM i nieprzekroczony 30 rok życia.

* W styczniu i lutym 1971 r. odbędzie się w Marsylii pierwszy europejski festiwal oper współczesnych.

* Inż. Springle ze stanu Wirginia w USA uprawia muzykę — pieczarową. W pieczarach koło Richmond znajdują się liczne stalaktyty. Inżynier uderza w nie odpowiednimi młoteczkami — stalaktyty wydają czyste i głębokie tony. Dziwactwo czy nowy rodzaj sztuki?

Film

* Sophia Loren i Carlo Ponti oglądali w Moskwie prapremierę filmu, w którym grali, reżyserii Vittorio de Sica, nakręconego w koprodukcji z artystami i technikami radzieckimi. Jest to historia żołnierza włoskiego na froncie wschodnim, ocalonego przez dziewczynę rosyjską. Sophia Loren wyraziła nadzieję, że w podobny sposób będzie mogła zagrać Annę Kareninę i Maikę Courage.

* Dino de Laurentis podpisał umowę o pracę z japońską firmą Toshibo, wyrabiającą aparaty elektroniczne. Reżyser wyjaśnił: Żegnam się z filmem i zmieniam zawód. Film przeżywa kryzys, może i są lekarstwa, ale ja wolę być elektronikiem niż lekarzem.

* Wątek miłosny osłabiłby dramatyczność walki o odnaleziony skarb i dlatego w filmie „Żołnierze Kelly" nie będzie ani jednej kobiety — twierdzi reżyser amerykański Brian Hutton. Dla odmiany Fellini do „Kobiety nieznanej" zaangażował 63 aktorki i ani jednego aktora.

* W roku ub. w NRF odbyły się premiery 397 filmów fabularnych — o 50 mniej niż w roku 1968.

* W Republice Południowej Afryki istnieje 505 kin, ale 371 — czyli 74 proc. — przeznaczonych jest wyłącznie dla białych.

* Reżyser Sergio Leone, zwany włoskim królem westernu, podpisał kontrakt na nakręcenie 5 filmów w Hollywood.

Różne

* Na ogólnopolskiej wystawie fotografii prasowej w Słupsku tytuł fotoreportera roku przyznano Stanisławowi Jakubowskiemu z CAF w Gliwicach.

* Polska i Austria podpisały porozumienie w sprawie współpracy kulturalnej i naukowej w latach 1970—1971.

* W Kozienicach rozpoczął pracę pierwszy na Ziemi Kieleckiej Klub Twórców Ludowych, któremu przewodzi Władysław Denkiewicz, rzeźbiarz z Jedliny Kościelnej.

* Zespół pieśni i tańca WSK z Mielca w ciągu 10 dni występował w kilku miejscowościach Węgier, m. in. w Budapeszcie.

* W pawilonie Biura Wystaw Artystycznych w Koszalinie otwarto klub związków twórczych.

* 50 przedstawień w Związku Radzieckim — to plon pobytu zespołu „Podwieczorku przy mikrofonie". Cały program prezentowany był w języku rosyjskim.

* Dymitr Szostakowicz po wypadku, którego był ofiarą, opuścił klinikę i znów ćwiczy grę na fortepianie. Przez kilka tygodni po wypadku jego prawa ręka była częściowo sparaliżowana.

* Głośny przed wojną i tuż po wojnie amerykański aktor Audie Murphy został aresztowany za napad z bronią w ręku. Murphy w czasie wojny został odznaczony 29 orderami i medalami — tak dużej ilości nie zdobył nawet żaden generał. Od kilkunastu lat żył w nędzy.

* Chafik Farid, dyrektor muzeum w Kairze, odkrył 70 km na północny-zachód od tego miasta największy z dotychczas znanych cmentarzy z okresu faraonów, używany w ciągu 3 tys. lat aż do roku 400 naszej ery. Badania potrwają kilka lat.

* Po 4 latach milczenia, urodzeniu dwojga dzieci i jednym wypadku samochodowym — Jacqueline Boyer, córka słynnej Lucienne, wraca na estradę jako piosenkarka.

* Żyjący w Paryżu malarz Yankel wykazuje niezwykłą oszczędność lub zapobiegliwość — nowe rysunki i gwasze wykonuje na plakatach ze swojej poprzedniej wystawy.

* Jak wiadomo w Anglii w niedziele nie mogą odbywać się żadne spektakle. Opera Covent Garden wzięła się na sposób. W niedziele nagrywa opery na płyty i zaprasza widzów, a właściwie słuchaczy, którzy siedzą przed opuszczoną kurtyną, ale słuchają muzyki i śpiewu, wzmocnionych przez głośniki.

* Gitarzysta niemiecki M. Dietrich, grający na gitarze o 10 strunach, ostatnio uderza w struny nie ręką, ale szklanym kuflem od piwa. Twierdzi, że dzięki temu dźwięk jest bardziej szlachetny.

* W grotach nad rzeką Doubs koło Besancon we Francji odkryto szkielety niedźwiedzi, żyjących około 40 tys. lat temu. Ze znalezionych kości udało się zrekonstruować cały szkielet, trzeci tego rodzaju na świecie. Niedźwiedzie owczesne ważyły około 500 kg, a ich wzrost na stojąco sięgał 3 m.

* Naturalny syn Picassa — Claude Ruiz (23 lata) otrzymał zgodę sądu na używanie nazwiska Claude Ruiz-Picasso.

* Jeden z najpopularniejszych obecnie malarzy amerykańskich Andrew Wyeth będzie miał wystawę w Białym Domu — jako trzeci dotychczas malarz w historii USA.

* Paleontolog francuski, Yves Coppens, natrafił w dolinie rzeki Omo w Etiopii na kilka szczęk istoty człowiekowatej — australopiteka, żyjącej około 3 mln lat temu.

* Koszalińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne posiada 6 oddziałów terenowych i 6 własnych klubów, a w ciągu 6 lat istnienia wydało lub poparło finansowo wydanie 60 tytułów.

* Jeszcze nie wszędzie dotarło zarządzenie Ministerstwa Kultury i Sztuki, że posiadacze zaszczytnego tytułu „Zasłużony Działacz Kultury" mają prawo poza kolejnością kupować bilety do teatrów i kin.

* W latach międzywojennych średni nakład literatury popularnonaukowej wynosił u nas 2140 egzemplarzy, obecnie 14 700 egzemplarzy.

Największa sensacja polityczna

z brulionu lektora

W LIPCU i w sierpniu i lektorzy z reguły odpoczywają. Okres urlopowy, a na wsi — czas wypełniony po brzegi pracą. Chłopi szczególnie interesują się rozwojem wydarzeń na świecie, zwykle oni zadają najwięcej pytań, ale latem przygważdżają ich codzienne obowiązki...

Piszę te słowa w trzeciej dekadzie czerwca. Tegoroczny czerwiec jest szczególnie ciekawy, jedna sensacja goni drugą, politycy, komentatorzy zajmujący się problematyką międzynarodową nie mogą narzekać na brak pracy. Nie trzeba szukać przysłowiowego węża morskiego. Świat ma inne rewelacje...

Kto by się spodziewał, że labourzyści poniosą porażkę w ostatnich wyborach parlamentarnych? Reuter pisał: Największa sensacja polityczna od czasów walki o fotel prezydencki w USA w roku 1948. Wówczas to — wbrew przepowiedniom wszystkich amerykańskich instytutów badania opinii publicznej — Harry Truman odniósł druzgocące zwycięstwo. To, co przed 22 laty udało się Trumanowi, dziś powiodło się Heathowi.

Życiorys nowego premiera brytyjskiego publikowała codzienna prasa. Nie będę go powtarzał. Warto jednak może zacytować, co o przywódcy brytyjskich konserwatystów pisała zachodnioniemiecka „Die Zeit" w początkach czerwca, kiedy tylko niewielu sądziło, że zostanie on szefem na Downing Street 10.

„W klubie dyskusyjnym na uniwersytecie Heath wyróżniał się zmysłem badawczym, oczywiście również politycznym instynktem, jakiego wówczas brak było partii konserwatywnej. Heath i jego przyjaciele przeciwstawiali się linii politycznej Chamberlaina. Podróż do Hiszpanii uczyniła studenta antyfaszystą. Następna zaś wizyta w Niemczech, w lecie 1939 r., umocniła go w tej postawie.

W Oxfordzie Heath poznał swego późniejszego współpracownika i zarazem przeciwnika, Quintina Hogga, który jest dzisiaj jego rzecznikiem dla spraw prawa i porządku (lord-kanclerz w nowym gabinecie — przyp. j.) i który wówczas kandydował w wyborach uzupełniających jako miejscowy kandydat konserwatywny. Heath zwalczał go, ponieważ Hogg przemawiał na rzecz polityki rządu Chamberlaina. Harold Wilson również studiował wówczas w Oxfordzie, a mianowicie to samo, co Heath — filozofię, politykę i ekonomię polityczną. Obaj wówczas nie bardzo wiedzieli, gdzie w końcu politycznie wylądują. Wilson przez dłuższy czas należał do liberałów, Heath przejściowo do socjalistycznego klubu studenckiego w Oxfordzie.

Jest on synem cieśli z Broadstairs w Kencie, gdzie jeszcze dzisiaj z braku własnej rodziny spędza weekendy u swego ojca i jego trzeciej żony.

Jako student Heath chciał zostać adwokatem lub dyrygentem. Po wojnie, w której dosłużył się stopnia podpułkownika artylerii, Heath próbował swych sił aż w pięciu różnych zawodach. Przez pewien czas był dowódcą pułku armii terytorialnej, jak gdyby pragnął pozostać przy karierze wojskowej. Następnie był urzędnikiem w ministerstwie rolnictwa. Próbował również swych sił jako dziennikarz. Pracował w banku handlowym. W końcu, w roku 1950, kandydował z ramienia partii konserwatywnej w Bekslej i wygrał te wybory większością 133 głosów, ponieważ komunista odebrał tam labourzyście 481 głosów. Wówczas, w wieku 34 lat, zdecydował się ostatecznie na karierę polityczną.

Należał on do pokolenia, które poważało Churchilla i Edena, ale nie okazywało im więcej ślepego posłuszeństwa. Heath był współwydawcą postępowego pisma „One Nation", które stało się punktem wyjścia dla reformistycznie nastawionej grupy w łonie partii konserwatywnej. Już w Oxfordzie podziwiał on McMillana, autora społecznych opracowań z okresu kryzysowych lat trzydziestych. McMillan, który w latach sześćdziesiątych był premierem, powierzył Heathowi — po krótkim intermezzo w roli ministra pracy — stanowisko specjalnego pełnomocnika do spraw europejskich..."

„Die Zeit" pisała dalej, że Heathowi walkę wyborczą utrudniało to, że nie może on prezentować swych mocnych stron. „Żeglowanie i gra na organach, zwycięstwa w regatach w Australii i dyrygowanie na koncertach świątecznych w Kent, imponują tylko niewielu. Jego menażer wyborczy, Reginald Pay, uważa jednak, że nieżonaty polityk jest znacznie lepszy od żonatego, bowiem jest bardziej niezależny pod względem czasu („Kto podróżuje sam, jedzie szybciej"). Niemniej konserwatyści podejmują komiczne, częstokroć rozpaczliwe próby, aby wyzwolić od famy kawalerskiego stylu życia drugą co do znaczenia figurę na brytyjskiej szachownicy politycznej. Fotografuje się go, gdy z młodą dziewczyną wyrusza na rejs żeglarski. Chodzi w tym wypadku o kucharkę na jego jachcie „Chmura poranna". Ażeby jednak nikt nie miał podstępnych myśli, na zdjęciu figuruje również młody człowiek, towarzysz wyprawy..."

Nikt jednak dziś nie uważa, że Heath dlatego wygrał wybory, że jest zatwardziałym kawalerem. Dlaczego tak się stało — na ten temat na pewno będą się spierać — dziś politycy i publicyści, a jutro — historycy. Wilson nie musiał przecież przedterminowo rozpisywać wyborów parlamentarnych. Zaufał różnym instytutom badania opinii publicznej i fatalnie się przeliczył. Na batalii wyborczej zaważyły sprawy wewnętrzne: bezrobocie, wzrost cen, rekordowe zadłużenia zagraniczne, powszechna obawa przed nową dewaluacją funta szterlinga. Szalę zwycięstwa na korzyść konserwatystów — podkreślają niektórzy komentatorzy — przeważyły kobiety, które codziennie zaopatrują domy w żywność i które codziennie widzą, jak ta żywność drożeje. Sporadyczne podwyżki płac nie mogły generalnie polepszyć budżetów domowych ludzi pracy.

Można dzisiaj rozważać: co by było, gdyby... Gdyby na przykład Wilson wysuwał śmielsze koncepcje dotyczące polityki zagranicznej jego rządu. Niestety, w tym względzie panowała kompletna stagnacja i konserwatyzm.

Trudno przypuszczać, aby Heath cokolwiek zmienił w tym względzie. Raczej oczekuje się, że konserwatyzm Wielkiej Brytanii i zależność od USA pogłębią się. Uwagę nowego rządu będą zapewne bardziej pochłaniać sprawy europejskie, ale jednocześnie zamierza on, w przeciwieństwie do rządu Wilsona utrzymać symboliczny kontyngent wojskowy w Azji południowo-wschodniej i w rejonie Zatoki Perskiej. Nowy rząd będzie dążył do wznowienia dialogu z Rodezją, choć kwestia uznania reżimu Smitha chyba nie wchodzi w rachubę. Niemniej Heath może wznowić dostawy ciężkiej broni dla Pretorii, znosząc w ten sposób embargo ustanowione przez labourzystów.

A więc — zwrot na prawo? Tak by należało oczekiwać. Ale w polityce bywa różnie i dlatego z wyciągnięciem ostatecznych wniosków trzeba będzie jeszcze poczekać.

To, o czym piszę, trafi do czytelników za 11 dni, bo harmonogram druku „Kameny" nie pozwala już na późniejsze dostarczenie materiałów do drukarni. 11 dni w polityce — zwłaszcza dzisiaj — to bardzo wiele, dlatego trudno snuć rozważania na temat znów napiętej sytuacji w Jordanii, na temat rozwoju wydarzeń w Kambodży, czy też na temat reperkusji wyborów w Nadrenii-Westfalii, Dolnej Saksonii i Saarze. W polityce międzynarodowej istnieją ścisłe powiązania i współzależności...

...Minęła północ. 22 czerwca 1970 roku. 29 rocznica napaści Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki. 9 maja tego roku obchodziliśmy inną rocznicę: ćwierćwiecze zdruzgotania hitleryzmu, kapitulacji III Rzeszy. Zestawienie tych dwóch rocznic ma swoją wymowę, nie tylko w aspekcie historycznym. (j)

25 czerwca 1970 r.
zmarł nagle

KONRAD BIELSKI

członek Kolegium Redakcyjnego „Kameny", literat, wspaniały Człowiek, serdeczny Przyjaciel i Kolega, który zawsze służył nam życzliwą radą i pomocą. Ponieśliśmy niepowetowaną stratę, z którą trudno się nam wszystkim pogodzić.

Kolegium Redakcyjne
i Zespół „Kameny"

Dnia 25 VI 1970 r. w wieku lat 68 zmarł zasłużony dla życia kulturalnego Lublina członek Lubelskiego Oddziału ZLP, członek Kolegium Redakcyjnego „Kameny", prezes Towarzystwa Przyjaciół Lublina, członek wielu towarzystw kulturalnych

KONRAD BIELSKI

odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Odznaką Zasłużonego dla Lubelszczyzny.

W Zmarłym grono jego przyjaciół i literatów lubelskich traci nieodżałowanego kolegę oraz twórcę głęboko oddanego sprawie kultury.

Lubelski Oddział ZLP

Wyrazy serdecznego współczucia z powodu śmierci

MATKI

Antoniny Jaworskiej

Redaktorowi Naczelnemu naszego pisma

Markowi Adamowi Jaworskiemu

składają

Kolegium i Zespół Redakcyjny „KAMENY"

Markowi Adamowi Jaworskiemu

naczelnemu redaktorowi „Kameny", wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci matki

Antoniny Jaworskiej

składa

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Oddział w Lublinie

Naczelnemu redaktorowi „Kameny".

Markowi Adamowi Jaworskiemu

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci matki

Antoniny Jaworskiej

składa

Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich

Po V Plenum KC PZPR

Każdemu według pracy

Jerzy Dostatni

PRZEZ wiele lat odnosiliśmy wrażenie, że przedsiębiorstwo państwowe nie może zbankrutować. Sama dyskusja na ten temat była uważana za herezję czy prowokację. Twierdzono, że jeżeli państwo na jednym przedsiębiorstwie traci, to na drugim zarabia i rachunek jest wyrównany. W tym rozumowaniu pojęcie „skarb państwa" robiło się jakimś bajkowym sezamem bez dna, z którego można było czerpać całymi garściami na pokrycie wszelkich deficytów. I strat, będących naturalną konsekwencją braku kompetencji czy niegospodarności. Mało kto zastanawiał się, za co w takim razie budować domy i szkoły, ulice i drogi, nowe fabryki i przetwórnie, za co importować bawełnę, ryż czy cytryny.

Pamiętam — był rok 1949. W „Sztandarze Ludu" napisałem ostry artykuł o ósemce bokserskiej największego wtedy w Lublinie klubu, która zaraz po meczu poszła oblewać wynik do restauracji. Na własne oczy widziałem, jak znokautowanych alkoholem zawodników odwożono dorożkami do domów. Dwie godziny po ukazaniu się artykułu do redakcyjnego pokoju weszła już trzeźwa cała ósemka — wtedy drużyna składała się z ośmiu zawodników — z przedstawicielem wagi ciężkiej na czele. Oprócz niedwuznacznych aluzji natury fizycznej usłyszałem całkiem gładki wywód o tym, jak postponuję sport socjalistyczny, którego widocznie jestem wrogiem, bo jeżeli nawet coś niecoś wypili, to wódka też pochodziła z socjalistycznej fabryki...

No ale z biegiem lat uczyliśmy się coraz więcej. Leciały na śmietnik prymitywne, dawne pojęcia ekonomiczne, zaczynaliśmy inaczej rozumieć prawa i obowiązki przedsiębiorstwa socjalistycznego, samo pojęcie socjalizm nabrało głębokiej treści humanistycznej, społecznej, ekonomicznej.

Przypominam te dawne sprawy nie bez powodu. Bo oto znowu znajdujemy się na starcie do nowego etapu, o tyle może ważniejszego od wielu poprzednich, że — po pierwsze — potrwa on szczególnie długo, po drugie — obejmuje wyjątkowo szeroki a kompleksowo współzależny wachlarz zagadnień. Wprowadzając bowiem do naszej gospodarki nowy system bodźców ekonomicznych, nie ograniczamy się tylko do spraw ekonomii — zysku, stopy zysku, kalkulacji, kosztów itp. Dochodzi do tego nie tylko komplet zagadnień gospodarczych — wykorzystanie maszyn, czasu pracy ludzi, zużycie surowców, gospodarka maszynowa czy transport. Wydaje mi się, że sprawą najistotniejszą jest konieczność szybkiego zrewidowania wielu dotychczasowych pojęć, które zresztą najczęściej prawem kaduka zyskały sobie prawo obywatelstwa. I w konsekwencji — zrewidowanie toku naszego myślenia, a w dalszym ciągu działania.

Tak się jakoś stało, że przyzwyczailiśmy się pracować raczej akcyjnie. Kolejne uchwały Partii, ustawy Sejmu czy zarządzenia Rady Ministrów zajmowały się wprawdzie tylko wycinkami różnych spraw — bo przecież nie wszystko można było uregulować czy przestawić za jednym zamachem — ale zawsze w kompleksie wielu powiązanych spraw. Tymczasem w praktyce rzecz przekształcała się w różne doraźne akcje. Była więc akcja likwidowania nadmiernych zapasów magazynowych, akcja ścisłego przestrzegania dyscypliny płac, akcja dyscypliny pracy itd. To prawda, że każda z tych akcji przynosiła jakieś dodatnie wyniki, ale przecież — w ostatecznych efektach — ograniczone i zasięgiem i trwałością.

I oto teraz mamy przed sobą nie akcję, ale d ł u g o f a l o w e d z i a ł a n i e, nie jeden czy dwa problemy — ale c a ł y i c h k o m p l e k s, powiązany współzależnościami ekonomicznymi i technicznymi, zdeterminowany naszą szybką i całkowitą adaptacją do nowych wymagań.

Podstawą nowego systemu bodźców ekonomicznych jest wskaźnik syntetyczny. A więc ten, który dla danego przedsiębiorstwa stanowi syntezę jego prawidłowej działalności, czyli — mówiąc po prostu — zysk. W jednym wypadku może to być suma bezwzględna w złotówkach, w drugim — procent od wartości produkcji globalnej. Jest rzeczą zrozumiałą, że aby przedsiębiorstwo osiągnęło zysk, musi działać prawidłowo. Aby ten zysk powiększać i jego część przeznaczać na podwyżkę płac, musi działać coraz bardziej prawidłowo, z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, cała załoga — od dyrektora od sprzątaczki — musi wykazywać coraz większą gospodarność. To znaczy: lepiej wykorzystywać maszyny, oszczędniej gospodarować surowcem, nie tracić czasu na żadnym stanowisku roboczym – za biurkiem i tokarką.

W dotychczasowej praktyce znamy dość wiele przykładów przedsiębiorstw, pracujących na tzw. stratach planowanych. W określonej sytuacji lat ubiegłych była to czasem konieczność ekonomiczna, czasem społeczna. Ale w miarę zmiany warunków, konsolidacji naszej gospodarki, dawna konieczność zamieniała się w kulę u nogi. Przez lat dwadzieścia takim planowanym deficytem były co roku wyposażane np. przedsiębiorstwa budowlane. I dodatkowy paradoks polegał na tym, że za te planowane straty płaciło się jeszcze wcale niemałe premie i nagrody. Podobnie zresztą było z fabrykami obuwia dziecięcego, a jest jeszcze np. z niektórymi przetwórniami owocowo-warzywnymi.

Na naradzie aktywu partyjno-gospodarczego w Lublinie sekretarz ekonomiczny KW PZPR, Henryk Świderski stwierdził krótko i prosto: w nowym systemie po prostu będziemy likwidowali przedsiębiorstwa i spółdzielnie nierentowne.

Ta likwidacja, będąca w gruncie rzeczy wynikiem bankructwa, może wyglądać różnie. Czasem wystarczy ograniczenie lub zmiana asortymentu produkcji, która nie znajduje zbytu — co może być wynikiem albo rzeczywistego braku zapotrzebowania, albo złej jakości lub zbyt wysokiej ceny wyrobów. Jeżeli aktualna dyrekcja nie potrafi znaleźć przyczyn i usunąć ich — musi zostać zmieniona. Jeżeli przyczyny są natury obiektywnej, trzeba zmienić produkcję, a może nawet branżę. Taki zabieg będzie, oczywiście, dotkliwy i dla kierownictwa i dla załogi. Trzeba będzie bowiem zmienić kwalifikacje ludzi, wdrożyć się do nowej produkcji, przystosować do warunków, istniejących w innym zjednoczeniu czy resorcie. To wymaga czasu i dodatkowej pracy — przy niewątpliwie okresowo zmniejszonych zarobkach. Stąd wniosek, że źle pracujące przedsiębiorstwo to nie tylko sprawa kierownictwa, ale dosłownie całej załogi. I stąd już dzisiaj stawia się tej załodze konkretne wymagania.

Najpełniejszym tego wyrazem jest wskaźnik syntetyczny, gromadzący w sobie podstawowe warunki działania całego przedsiębiorstwa i każdego członka jego załogi. Potem wskaźniki odcinkowe — dla pojedynczych ludzi, brygad, działów i wydziałów, całego zakładu pracy. Powinny one obejmować najbardziej pilne aktualnie zadania: jakość, terminowość, eksport, oszczędność surowca, sprawność remontów, pełne wykorzystanie zdolności produkcyjnych określonych maszyn lub ich zespołów... Wszystko zależnie od lokalnych, nawet wydziałowych warunków. Osiągnięcie tych wskaźników musi albo usunąć występujące nieprawidłowości, albo wydobyć rezerwy, drzemiące sobie spokojnie w złej organizacji pracy, bezduszności, pod osłonami nie wykorzystanych obrabiarek czy dźwigów, w żółwim tempie postępu technicznego itd., itd.

O postępie technicznym wspominam na końcu, ale w działaniu powinien on stanąć na pierwszym miejscu. Warto przypomnieć, że IV Plenum KC PZPR — nie była to zapewne rzecz przypadkowa — poświęcone zostało sprawom postępu techniki i rozwoju zaplecza naukowo-badawczego naszej gospodarki. Na V zaś Plenum, gdy zapadały uchwały o nowych bodźcach, Władysław Gomułka tak zdefiniował te sprawy: „Każde przedsiębiorstwo powinno mieć przeznaczoną określoną ilość punktów za wykonanie zadań z zakresu postępu technicznego. Jeśli tych zadań nie podejmie, to rzecz jasna związana z tym zadaniem część bazowego funduszu nie ulegnie zwiększeniu".

Wynika z tego, że wdrażanie postępu technicznego powinno być w każdym przedsiębiorstwie jednym z owych kilku wskaźników odcinkowych. Plany takie sporządza się w naszych przedsiębiorstwach od lat przynajmniej dwudziestu. Rzecz w tym, że dość często są to plany dla samych planów, niezmiernie rzadko „rozlicza" się ludzi, odpowiedzialnych za ich wykonanie.

Na wspomnianej naradzie aktywu dyrektor Oddziału Wojewódzkiego NBP Radzisław Kozanecki wypomniał cukrowniom lubelskim, fabryce obuwia im. Buczka i Lubelskiej Wytwórni Tytoniu Przemysłowego, że sprowadziły maszyny za 7 mln zł, w tym importowane za 1,5 mln zł — ale owe maszyny od roku leżą w magazynach, zamiast produkować na rynek wewnętrzny i na eksport. Tak więc znów stawia się postęp techniczny na głowie — zgodnie z planem kupuje się maszyny, ale z powodu innych zaniedbań leżą one bezużytecznie; zamiast powiększać zysk — przynoszą stratę. Do innej dużej fabryki też sprowadzono kosztowną maszynę z importu, nawet ją szybko zainstalowano, ale cóż z tego, jeżeli pracuje ona tylko kilka godzin tygodniowo. Korzyści, jakie daje, zżera z naddatkiem jej wielogodzinna bezczynność. Nie mówiąc o tym, że nowa maszyna starzeje się techniczne w równie szybkim tempie, jak gdyby pracowała najbardziej wydajnie. No cóż — postęp techniczny jest tylko wtedy postępem, gdy nowa produkcja kosztuje taniej niż poprzednia. O tym nie wszyscy jeszcze pamiętają. Jeżeli jakość nie jest wyraźnie lepsza — można podziękować za taki postęp.

Na tej samej naradzie dyrektor Lubelskich Zakładów Przemysłu Cementowego Zenono Sitko skarżył się na kolej. Twierdził, że urządzenia nowej cementowni Chełm II są tak zbudowane, iż dobowy napływ margla i węgla — a liczy się to na dziesiątki wagonów — może być wyładowany tylko w ciągu 12 godzin, bo taka jest wydajność suwnic. Tymczasem niedawno PKP zaczęły naliczać kary za przetrzymywanie wagonów już po 6 godzinach. W samym tylko maju LZPC zapłaciły 3 mln zł kar, co m. in. spowodowało, że żaden z pracowników transportu nie dostał premii. Dyrektor poprosił więc, aby przysłać do Chełma specjalną komisję do zbadania tej sprawy „łącznie z prokuratorem" — co, oczywiście, miało swój podtekst, skierowany chyba nie pod własnym adresem. Sekretarz KW odpowiedział na to: „Możemy przysłać nawet dwóch prokuratorów, jeżeli to pomoże. Ale oni zbadają także, czy wyładunek pracuje na trzy zmiany, czy też tylko na jedną tzw. wydłużoną z nadgodzinami". Od siebie mogę dodać, że wskutek awarii każda z suwnic wyładunkowych nie pracuje przynajmniej 2 godziny dziennie. Obciążyłbym więc winą także pracowników bazy remontowej za niedbałą, powierzchowną robotę.

Dzięki owym suwnicom w śledzeniu głównych aspektów uchwał V Plenum doszliśmy do spraw inwestycji. I znowu trzeba przypomnieć — tymże sprawom było w całości poświęcone II Plenum, ściślej: przekraczaniu planowanych terminów oddawania inwestycji do użytku oraz przekraczaniu planowych kosztów tych inwestycji. Był to także jeden z etapów przygotowawczych do uchwał V Plenum i dlatego musiano posłużyć się jeszcze pewnego rodzaju działaniem administracyjnym, dzieląc inwestycje na pięć klas efektywności przy daniu pierwszeństwa klasom najwyższym. W naszym województwie, podobnie zresztą jak w całym kraju, od lat utrzymywał się silny nacisk na stałe rozszerzanie zakresu inwestycji. Zwiększenie produkcji, polepszenie jakości, nowe asortymenty, niższe koszty — na wszystko miały pomóc inwestycje. Jakże często okazywało się, że w wyniku tych inwestycji nowa produkcja była droższa, niekiedy nawet i gorsza, nie mówiąc już o milionach, uwięzionych w długoletnim cyklu — z reguły przekraczanym — budowy.

Nowy system bodźców, uzależniający wzrost płac nie od wykonania zadań, nie mówiąc już o ich obniżeniu, ale od poprawy tych zadań z roku na rok, niewątpliwie zahamuje wybujałe apetyty inwestycyjne. Po prostu, gdy przyjdzie spłacać raty i procenty za inwestycje, łacno może się okazać, że inwestycja nie poprawi, ale pogorszy płace. Oczywiście jedynie wtedy, jeżeli nie była celowa, jeżeli jej efektywność była tylko papierkowa. Spłata takiej inwestycji zmniejszy bowiem zysk nie dając żadnych efektów, albo zbyt małe, nieopłacalne — i w rezultacie zostanie obniżony wskaźnik syntetyczny, którym z zasady będzie właśnie ów zysk .

W jednym artykule poruszyłem tylko niektóre problemy, wiążące się z nowym systemem bodźców zainteresowania materialnego załóg. O szczegółach pisała wielokrotnie prasa codzienna. W przedsiębiorstwach pracują obecnie specjalne komisje, ustalające propozycje wskaźników i związane z tym perspektywy rozwojowe każdego zakładu pracy. Propozycje te będą jeszcze szczegółowo rozpatrywane w różnych zespołach, zanim zaczną obowiązywać od 1 stycznia lub 1 lipca 1971 roku. Jedynym na Lubelszczyźnie przedsiębiorstwem, w którym nowy system obowiązuje wcześniej, bo już od 1 lipca br., jest Fabryka Samochodów Ciężarowych. Doświadczenia tam zdobyte będą mogły być dla innych cenną pomocą, niezależnie od wielkości i profilu produkcji.

Każdemu według jego pracy — brzmi zasada socjalistycznego podziału wytwarzanego przez nas wszystkich dochodu narodowego. Odnosi się to zarówno do każdego członka załogi, jak również do każdego przedsiębiorstwa. Nowy system, wkraczając głęboko w ekonomikę i technikę przedsiębiorstwa, uwzględniając kwalifikacje, zaangażowanie i efekty pracy, a preferując szczególnie załogę produkcyjną, uwzględnia najpełniej tę socjalistyczną zasadę wynagradzania za efektywną pracę.

Helena Platta

„Aleć nade mną Venus"

(Z Tabulatury Jana z Lublina)

Za Lublinem
na polach Września
las janowski wspominać
gdzie możewiednik, szakłak, szalej
użyźnione kruszyny krzewiny
zagajniki porosłe już wysoko
wyłuskany przez wyrostka
pocisk
owocujący ziarenkami ognia
dwadzieścia pięć lat
drzemiące takie ziarno —
siew.

Rzeki jedynej tu brzeg
kapryśną zagięty nutą
w przerywnikach popróchniałych pni
starość tych co

wtedy w lasach —
obsiadły skłony
trzcin
wiatr w pas
gnące się pokornie.

Od miast neony
idą na szczudłach
przymrużonych rzęs
ale tam
o zachodzie to ta — zaranna
o wschodzie — ta sama:
..., Aleć nade mną Venus"...
pocisk spał w ściółce
niechby spał
taki siew
zapadł w proch ziemi wtarty
a chłopiec żeby dojrzał
i pozdrowił Gwiazdę
w dwudziesty pierwszy wiek
zbliżoną.

Andrzej Guzek

* * *

Na ramieniu
tak cicho jak nietoperz przysiadła trzydziestka
Wiesz
złudzeniom damy chyba od dzisiaj na stałe wychodne
Do szuflady zmętniałe kryształowe kule
Nie będzie już mój stary wielkiej miłości
a i laur na czerep łysiejący nie spłynie lekko
niby liść ku ziemi
Trzeba się z tym pogodzić
Z bezbronnym płowieniem rzeczy
z kurzem na powiekach
Wieczorami bez gniewu rozdeptując domowe bambosze
poczytasz co surowszych Stoików
porozmyślasz z miłym smuteczkiem o rezygnacji
nie będziesz zazdrościł tym do których zachodzi listonosz
Dla odprężenia
możesz uprawiać długie apetyczne spacery
od czasu do czasu rozciągać sprężyny
latem obowiązkowo wyjeżdżać na wczasy rodzinne
a zresztą
zawsze jeszcze można chociaż na dwie godziny uciec
do pustego jak zatęchły grobowiec
kina

Lębork

Wiesław Stępniewski

Spław w bukolikę

Jemiołką trzciną w deszczu łątką
sidła rysie w Supraśl zastawione —
mniszkom
na Adonisje byłby dudek i sarna.
A zaś
Z Biebrzy dziupli karasi ani ruszyć kołem —
sumem.
Choć buki pasieczne — spławne bosaki łamać.

Bukole co przy ulach i co w gospodzie
aż drążny
miód spuszczają w monastyr ten jaz, bartny
pień tratwy ciągnąc.
— A oto
— Światowid łosi
po czapę w wodzie stoi — gzów i karpi
koszałką...

— I cóż ci siostro
przywiozę Euterpo na Nimfomachię
Świętą? Ogrodem
laskiem a rzeczką —

po mniszek okna
psalmodia już tam szydzą zielonorakie.

Międzyborów

Stanisław Matys

Weselnicy

chmara ludków leci z wioski
a to dobrze
to pewnikiem na wesele
już gotowo pani młoda
bierzta chłopcy ją w pokrzywy
szmatki zedrzeć
bierzta goło
pokrzywami i piołunem
dobrze zadek trza wyparzyć
tylko sami od niej wara
bo to przecie pani młoda
bierzta chłopcy
wszyscy raźno
w konopiach trza wytarzać
ale sami od niej wara
bo jak dobrzy ludzie bają
gorzki piołun
złe pokrzywy
a konopie tyż nie lepsze

Białystok

Rys. L. Szalecki

Zdobycie Bastylii

Juliusz Willaume

FILOZOFII wieku Oświecenia mieszczaństwo francuskie zawdzięczało świadomość swego znaczenia, opartego na wzroście zamożności właścicieli rękodzielni i kupców, dzięki rozwojowi przemysłu manufakturowego we Francji XVIII wieku. Tymczasem ustrój feudalny opierający się w rolnictwie na wielkiej własności ziemskiej, w produkcji na organizacji cechowej, zaostrzył antagonizm społeczny między stanami uprzywilejowanymi, liczącymi według znawcy epoki, Alberta Soboula, 470 000 szlachty i księży, tzn. zaledwie 2,8 proc. dwudziestopięciomilionowej ludności Francji, a stanem trzecim, do którego należała większość społeczeństwa. Burżuazja liczyła na pomoc mas ludowych w walce o prawa polityczne, o zagarnięcie władzy przez wielką burżuazję. Sposobności ku temu dostarczyło zwołanie przedstawicielstwa stanowego, Stanów Generalnych, których od 75 lat nie radzili się absolutni królowie. Dopiero Ludwik XVI zwołał je do Wersalu na 5 maja 1789 roku w celu uchwalenia podatków na pokrycie znacznego deficytu skarbowego, zagrażającego bankructwem państwowym.

Wtedy dzięki sojuszowi deputowanych mieszczańskich z przedstawicielami liberalnej szlachty i niższego kleru zmierzano na odcinku prawno-politycznym do podporządkowania władzy królewskiej zwierzchnictwu narodu. Ale król zareagował na to 11 lipca odwołaniem gabinetu popularnego bankiera Neckera oraz koncentracją wojsk zaciężnych wokół Wersalu i Paryża. Bezsilne Zgromadzenie Narodowe zostało wówczas ocalone przez zryw ludu paryskiego.

Ożywienie polityczne paryżan tłumaczy się ogólnym pogorszeniem położenia gospodarczego kraju. Narzucony przez Anglię w 1786 roku traktat handlowy doprowadził do zalania rynku francuskiego towarami angielskimi. Wywołał ograniczenie produkcji francuskiej, częściowe bezrobocie i utrzymanie zarobków na niskim poziomie. Tymczasem po nieurodzaju roku 1788 zdrożał chleb, który stanowił podstawę wyżywienia biedoty. Nędza mas doprowadziła wiosną 1789 roku do rozruchów. Biedota robotnicza i drobnomieszczańska paryskiego Przedmieścia św. Antoniego zniszczyła 28 kwietnia dwie manufaktury. Stłumiona przez wojsko rewolta, okupiona śmiercią kilkuset osób, ujawniła zdecydowaną postawę mas ludowych stolicy.

W pojęciu ludu kryzys gospodarczy szedł w parze ze spiskiem arystokratów przeciwko stanowi trzeciemu. W odsunięciu Neckera od władzy dostrzeżono zapowiedź zaniechania oczekiwanych reform ustrojowych. Na wiecu w ogrodzie tzw. „Pałacu Królewskiego" przywódca ludowy, młody adwokat Kamil Desmoulins, wezwał 12 lipca masy do demonstracji za powrotem Neckera do władzy. Podczas rozpraszania manifestantów przez pułk jazdy niemieckiej „Royal Allemand" raniono przy ulicy Chausée d'Antin parę osób. Uderzono w dzwon alarmowy na ratuszu. W nocy z 12 na 13 lipca lud zaczął się zbroić i przenosić ze składów i sklepów prywatnych mąkę i pieczywo do hal targowych. Rankiem 13 lipca mieszczanie ustanowili na ratuszu „Komitet stały", który powołał milicję paryską dla czuwania nad bezpieczeństwem publicznym. Milicję nazwano wnet gwardią narodową.

Dla obrony przed wojskiem lud szukał broni w pałacach arystokratów; ukuto około 50 tysięcy pik. Wojskowe oddziały „gwardzistów francuskich", które poprzedniego dnia ogniem karabinowym osłoniły manifestantów przed pułkiem Royal Allemand, teraz, mimo rozkazu opuszczenia stolicy, podporządkowały się Komitetowi stałemu.

Po zaopatrzeniu się w zbrojowni Pałacu Inwalidów (14 lipca) w 32 tysiące karabinów i 12 armat, masy ludu skierowały się po proch do stołecznej warowni. Wzniesiony w latach 1369—1383, w pobliżu Przedmieścia św. Antoniego, zamek obronny określano jeszcze w XV wieku zaczerpniętą z języka prowansalskiego nazwą „bastide", tzn. budowlą warowną. Jej kamienne mury, wysokie 30 metrów, otoczone były fosą 20 metrów szeroką. Bastylia, przypomnijmy, była więzieniem państwowym, do którego zsyłano bez sądu. Jej zburzenia domagali się w zeszytach zażaleń wyborcy do Stanów Generalnych.

Wśród blisko tysiąca oblegających przeważali rzemieślnicy z Przedmieścia św. Antoniego, Jak wykazał Georges Rudé, 25 proc. zdobywców stanowili robotnicy najemni. Opanowanie Bastylii ułatwili obeznani ze zdobywaniem twierdz gwardziści francuscy oraz milicja mieszczańska wiodąca pięć armat. W szeregach nacierających byli także Polacy. Były konfederat barski, generał Józef Miączyński, twierdził, jakoby dowodząc artylerią ludową ogniem działowym przerwał łańcuchy mostu zwodzonego. Wśród walczących widziano syna dworzanina króla Stanisława Leszczyńskiego, późniejszego jakobina, Klaudiusza Łazowskiego.

Gubernator Bastylii, markiz Launay, zaskoczony wypadkami, zrazu zakazał odpowiadać na palbę karabinową i wycofał działa ze stanowisk. Skoro jednak po przecięciu toporem łańcuchów mostu zwodzonego przez gwardzistę, oblegający zajęli dziedziniec zewnętrzny, a następnie wewnętrzny, zwany gubernatorskim, gdzie trzystu żołnierzy pod wodzą Hulina ustawiło 5 dział u wejścia do głównych pomieszczeń warowni — wówczas Launay zgłosił gotowość kapitulacji za cenę swobodnego wymarszu załogi. Podczas rokowań z przedstawicielami Komitetu stałego obrońcy ostrzelali dziedziniec z broni ręcznej, a sąsiednie ulice zasypali kulami armatnimi. To wywołało oburzenie wśród oblegających. Wprawdzie przygodni dowódcy gwardzistów, Hulin i Elie, przyjęli kapitulację, a pilnujący jej wykonania Choliat i Maillard starali się ocalić załogę, to jednak w odwet za ranionych i zabitych zwycięzcy domagali się natychmiastowej egzekucji. Zginął nie tylko Launay z większością załogi, lecz także przełożony cechu kupców Flesselles oraz kilku urzędników miejskich, podejrzanych o podbijanie cen, ukrywanie broni i kontakty z dworem wersalskim. Natomiast siedmiu oswobodzonych więźniów z triumfem oprowadzano po ulicach stolicy.

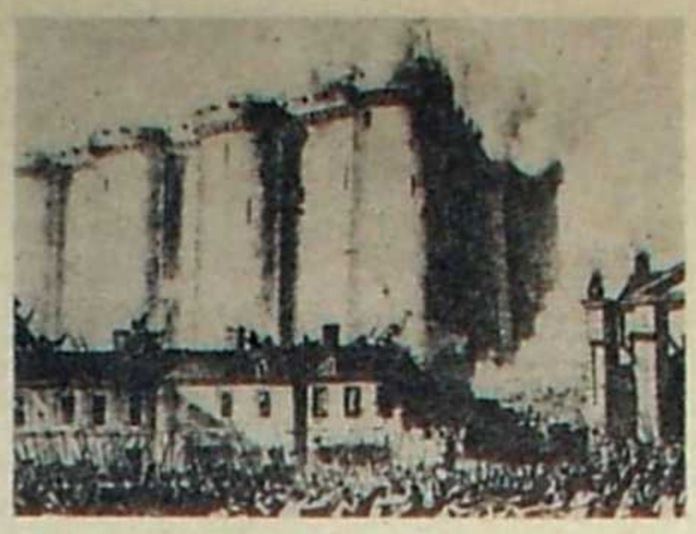

Zdobycie Bastylii, będącej dla współczesnych symbolem absolutyzmu królewskiego, stało się dla całego kraju hasłem do walki ze starym ustrojem. W Paryżu za przykładem murarza Palloy już 15 lipca przystąpiono do burzenia znienawidzonej warowni. Z jej kamieni wzniesiono most Zgody na Sekwanie, a modele zniesionego zamku rozesłano do większych miast prowincjonalnych na dowód obalenia feudalnej strażnicy.

Tymczasem w nocy z 14 na 15 lipca paryżanie ułożyli listy wyjętych spod prawa wrogów postępu, z bratem królewskim, hrabią d'Artois (późniejszym Karolem X), na czele. W Zgromadzeniu Narodowym osiągnięcia 14 lipca tak podsumował Maksymilian Robespierre: „Wolność publiczna... trochę krwi przelanej. Temu buntowi naród zawdzięcza wolność". Tak więc dzięki zapałowi, męstwu i liczbie lud paryski uratował rewolucję. Toteż przedstawiciel Przedmieścia św. Antoniego, przemawiając do Zgromadzenia Narodowego, mógł rzec: „Panowie jesteście zbawcami ojczyzny, ale macie również zbawców".

Zdobycie Bastylii wzmogło poczucie siły w masach ludowych. Z drugiej strony załamało opozycję dworską. Ludwik XVI dla pogodzenia się ze stolicą przybył 17 lipca do Paryża. Jednak przed wyjazdem z Wersalu w liście do króla hiszpańskiego, Karola IV, założył „formalny protest przeciwko wszystkiemu, co będzie się działo od 15 lipca 1789"; bratu zaś swemu, hrabiemu Prowansji (późniejszemu Ludwikowi XVIII), powierzył warunkowo regencję. Ale zaskoczony entuzjastycznym powitaniem, król zapewniał rzesze paryżan: „Lud mój może zawsze liczyć na moją miłość". W ratuszu z rąk nowego mera, astronoma Bailly'ego, przyjął niebiesko-czerwoną kokardę paryską, którą na swym kapeluszu dołączył do białej wstążki burbońskiej. Tak powstałe trójbarwne godło rewolucji gen. Lafayette wprowadził na sztandary dowodzonej przez siebie gwardii narodowej.

Lipcowy zryw ludu paryskiego w pewnej mierze był skutkiem żywiołowych ruchów powstańczych, które wystąpiły we Francji w styczniu 1789 roku. Z drugiej strony był hasłem do wybuchu szeregu powstań w kraju, które szybko umocniły się, organizując za wzorem Paryża rewolucyjne władze miejscowe, komitety stałe i gwardie narodowe. W obawie przed „spiskiem arystokratycznym" chłopi zdobywali zamki i dwory, aby spalić dokumenty, na które powoływali się feudałowie, żądając świadczeń na rzecz dworu. Nowy ład zapoczątkowało Zgromadzenie Narodowe, znosząc 4 sierpnia 1789 roku ciężary prawa feudalnego na wsi, a 26 sierpnia „Deklaracją praw człowieka i obywatela" rzuciło podstawy pod nowy porządek, zapewniający mieszczaństwu ster życia politycznego.

Sprawy historyków

Badacz i źródło historyczne

Józef Szymański

CZY historyk może pisać w zgodzie ze źródłami? Pytanie takie zdaje się być nonsensowne. Cóż dopiero odpowiedź: nie, historykowi nie wolno pisać w zgodzie ze źródłami. To już zdaje się brzmieć co najmniej wyzywająco. Niemniej to twierdzenie jest w pełni zasadne i oddaje istotne treści warsztatu historycznego. Jedynie pozornie tkwi tutaj sprzeczność. Historykowi bowiem nie wolno pisać bez znajomości źródeł, ale nie wolno również źródłom dowierzać.

Każdy człowiek z natury swej jest w pewnym sensie historykiem. Nawet budując prognozy na przyszłość, opiera ich przesłanki na doświadczeniu osiąganym w mijającym czasie. Miniony zaś czas to nic innego jak przeszłość, historia. Zatem owo doświadczenie jest źródłem poznania przeszłości. Praktycznie historyka zawodowo zajmującego się badaniem przeszłości wyobrażamy sobie jako człowieka czytającego stare księgi, dokumenty itp. szpargały. Wydaje się nam, iż poprzez czytanie owych dokumentów-źródeł odkrywa przed nami miniony czas. Cała zaś jego wiedza sprowadza się do umiejętności odczytywania informacji o przeszłości i umiejętnego przekazania ich poprzez pismo (najczęściej, choć nie wyłącznie) czytelnikowi.

Najogólniej rozumowanie takie jest poprawne. Zwróćmy jednak uwagę, czy w codziennym życiu jesteśmy skłonni od razu dać wiarę każdemu dokumentowi? Dlaczego sprawdzamy bilet kolejowy kupiony w kasie, ile myśli odczytujemy z listu bliskiej osoby, mimo iż myśli tych nie wyraziła ona przy pomocy pisma? Skoro tak postępujemy sami, dlaczegóż od historyka żądamy, by pisał zgodnie z tym, co wyczytał literalnie w starych foliałach? W tym niezasadnym żądaniu tkwi przyczyna owej niewiary w poczynania historyków, niewiary, która wzbudziła np. wiele niepokoju w naszym poczuciu patriotycznej dumy, kiedy w ostatnich latach historycy wojskowości doszli do wniosku, iż to nie atak wojsk polskich, ale litewsko-ruskich, powtórny atak, zadecydował o świetnym zwycięstwie pod Grunwaldem.

Praca badawcza historyka przypomina niejednokrotnie poczynania detektywa (być może, iż dlatego historycy chętnie czytają powieści kryminalne). Tak jak detektyw potrafi dzięki swym umiejętnościom wiele odczytać z linii papilarnych (a nie tylko ich układ w przestrzeni), tak i historyk musi wiele odczytywać ze źródła (a nie tylko to, co zostało zapisane przy pomocy pisma). Historyk musi wiedzieć chociażby tylko to, że słowo „dziewka" w XVI w. ma znaczenie pieszczotliwe (używa go Kochanowski w „Trenach" mówiąc o ukochanej Urszulce), a nie pogardliwe, tak jak dziś. Musi wiedzieć, iż staropolski Biernat (również ten z Lublina) to po prostu dzisiejszy Bernard itp. Przede wszystkim jednak musi znać istotę źródła i zgodnie z tym je odczytywać. Tymczasem już tutaj, przy tym pierwszym i kardynalnym dla historyka pojęciu, piętrzą się różnorakie trudności.

Spór o naturę źródła historycznego trwa co najmniej od półtora wieku (oczywiście ten noworytny spór, kiedy to historycy zrozumieli, iż od obiektywnej prawdy oddala ich wyłącznie dosłowne odczytywanie źródła. Z zagadnieniem tym ściśle wiąże się pytanie o charakter poznania historycznego: czy jest to poznanie subiektywne, a więc takie, na jakie stać badacza, czy też obiektywne, a więc poznanie przeszłości w realnych jej kształtach, takich, w jakie ona była zamknięta, czy też subiektywne, a więc zamącone poprzez poznanie dokonane już przez źródło, które przekazuje informację o przeszłości. Jeżeli w odkrywaniu obiektywnych praw rządzących przebiegiem całokształtu historii, procesu dziejowego, zostaną odnotować wiele zasadniczych i zadowalających osiągnięć, to w zakresie problematyki określenia natury źródła i poznania historycznego wciąż panuje niezadowolenie, a konsekwentnie dyskusja.

Mimo wszystko zdaje się panować zgoda co do jednego: iż źródło jest jedynie śladem, w którym został utrwalony mijający czas i dokonujące się w nim wydarzenia, oraz że źródło to ma dwie warstwy, bezpośrednią i pośrednią, zamierzoną i niezamierzoną. Aby lepiej rzecz zrozumieć popatrzmy na „Kronikę" Galla-Anonima. Jak wiemy, są to dzieje Bolesława Krzywoustego, poprzedzone historią jego protoplastów z rodu piastowskiego.

Zarówno konstrukcja stylistyczna „Kroniki", jak i jej szata werbalna (forma), a więc środki konkretyzacji treści, nie są dziełem przypadku. Jednakże pisarz zamierzał w pięknej formie opowiedzieć dzieje bohatera — księcia Bolesława. To zaś, że użył takiej a nie innej formy i konstrukcji stylistycznej, nie było jego zamiarem. Aby bowiem wywiązać się z zadania musiał użyć takiej formy i konstrukcji, która odpowiadała ówczesnemu smakowi pisarstwa historycznego. W konsekwencji jednak „Kronika" informuje nas zarówno o losach bohatera, jak również o losach państwa, którym ów bohater sterował, a także o ówczesnej kulturze literackiej, chociaż tego nie zamierzał, zaś o kulturze nie ma w „Kronice" ani słowa. Jednakże relacja o losach bohatera jest ową zamierzoną, bezpośrednią warstwą źródła, zaś jej forma i konstrukcja stylistyczna jest niezamierzoną, pośrednią warstwą źródła.

Starsza historiografia, a w jej kręgu wielu z nas kształtowało swój obraz przeszłości, zadowalała się odczytaniem jedynie owej warstwy bezpośredniej. Stąd opowieść dziejów prezentowana przez historyków sprowadzała się do poprawnie warsztatowo odczytanej narracyjnej strony wydarzeń. Dzięki temu jakżeż łatwo było o nadanie dynamiki owej narracji, a w konsekwencji o pisanie dzieła poczytnego do

Dokończenie na str. 11

BYŁEM „TERENOWCEM"

Dokończenie ze str. 1

wilejem pogranicznych osiedli. Istniały zresztą po temu realne podstawy — w kontrolowanym przez WOP pasie granicznym nie pojawił się żaden z handlarzy, jacy wówczas rojami kręcili się w terenie, nielegalnie uzupełniając skąpe zaopatrzenie miast. W osiedlach tych życie toczyło się inaczej, nieruchliwie, według swoich reguł pogranicza. Dlatego w okresie największych braków mięsa na rynku, w Horodle nad Bugiem bez żadnych trudności nabyłem potężne pęto takiej kiełbasy, jakiej po raz drugi nie zdarzyło mi się spotkać w Rzeczypospolitej.

Swoją drogą lubiłem miejscowości, w których mogłem tropić echa odległych wydarzeń i sprawdzać własną o nich wiedzę. A nieco rozeznania posiadałem, gdyż poza niezłym opanowaniem normalnego, szkolnego kursu historii Polski, z przymiarką na region lubelski, miałem wówczas za sobą pięć lat dorywczych studiów nad kampanią wrześniową i kilka lat podobnych przygotowań do napisania książki o Walerym Wróblewskim. Nawiasem mówiąc, książkę o Wróblewskim wcześniej napisał kto inny i zrobił to lepiej, niż byłbym w stanie zrobić ja. Swoje przygotowania skwitowałem w marcu 1951 roku, zamieszczając w „Sztandarze" krótki szkic o utarczce pod Jedlanką i dopiero po latach, w stulecie Powstania Styczniowego, powróciłem do tego tematu w kilku kolejnych artykułach, pisanych pod patronatem ZBoWiD-u. Szerzej natomiast spożytkowałem publicystycznie temat Września, nad którym zresztą prowadzę prace do dziś. Swoją drogą, to było porywające, kiedy np. idąc wieczorem starą aleją parkową prowadzącą do dawno rozparcelowanego dworku w Nadrybiu, oczyma wyobraźni widziałem zbierającą się tutaj do wystąpienia powstańczą partię Kazimierza Bohdanowicza...

Spróbowałem ten moment nawet wtrącić do reportażu, ale w tamtych czasach podobne „zagrania" nie przechodziły. W redakcji przygwożdżono mój tekst apriorycznym stwierdzeniem:

— Po co wspominać, to było szlacheckie powstanie...

Jesienią 1951 roku wydłubałem „bombowy" temat związany z moim „hobby" — odkryłem Powstanie Zamojskie z grudnia 1918 roku. Był to akt Rewolucji Październikowej dokonany na ziemiach Polski! Spodziewałem się sukcesu, bo artykuł „Czerwone sztandary na zamojskim „Ratuszu" opracowałem starannie, przedstawiając wydarzenia i ich uczestników, także żyjących jeszcze w Zamościu i Lublinie. Przeczytano, doceniono moją inicjatywę, ale ostatecznie zawyrokowano:

— Nie znamy oficjalnej oceny tego wystąpienia. Trzeba się wstrzymać...

I znów na próżno tłumaczyłem, że w beletrystycznej formie o Powstaniu Zamojskim pisał już Putrament. Na próżno szukałem pomocy u sekretarza podstawowej organizacji partyjnej, którym była wówczas moja niezachwiana przyjaciółka Stacha Gogołowska. Artykuł wsiąkł, a temat musiał czekać jeszcze osiem lat, zanim oficjalnie wprowadzili go do historii naukowcy lubelskiego UMCS.

Historyczny Zamość w mojej pracy dziennikarskiej w ogóle nie miał szczęścia. W dziesięcioleciu PRL napisałem duży artykuł o powstaniu w tym mieście organów władzy ludowej latem 1944 roku. Temat był interesujący, gdyż zarówno proces formowania władzy, jak też jej funkcjonowanie w pierwszym okresie po wyzwoleniu, obfitowały w ciekawe szczegóły. Wydrukowano nawet własne pieniądze... Nasz kolega Stefan Fudko był w te sprawy czynnie zaangażowany.

Artykuł starannie wycyzelowałem, z satysfakcją zaniosłem naczelnemu. Jak to miał w zwyczaju, po przeczytaniu zafrasował się, zmierzwił dłońmi ciemny włos, wreszcie spytał:

— A co ci ludzie robią dziś? Udzielają się?

Niestety, „udzielali się" tylko niektórzy. Pozostali gospodarowali na roli, albo dożywali swego wieku, szukając dobrze zasłużonego spokoju. To zdecydowało — jeśli piszemy o aktywistach, to muszą być aktywni. Artykuł padł.

Moje historyczne „hobby" nieraz kazało mi denerwować się z powodu błędów w dziedzinie historii, jakie zdarzały się gazecie. Na przykład jeden z mych kolegów napisał w sprawozdaniu z pewnej uroczystości „...w tym samym Stoczku, koło którego „armaty zdobywała wiara" podczas k o ś c i u s z k o w s k i e g o powstania..." Może nie tyle miałem pretensje do młodszego kolegi, który sprawozdanie pisał, ile do starszego, który ten pasus puścił do druku, chociaż należał do mych najmilszych kolegów.

Wspominając ten moment znów odskoczyłem od chronologii, ale prawdę mówiąc, z dystansu lat bardziej kojarzą mi się zdarzenia zbliżone do siebie treścią, niż czasem.

Wcale również nie jest przypadkiem, że wcześniej napisałem o zdarzeniach, niż o towarzyszach pracy. W ówczesnym systemie roboty dziennikarz, terenowiec na wyjazdach spędzał więcej czasu niż w redakcji. Poznawanie kolegów siłą rzeczy odbywało się powoli, a z tego powodu także ich cechy indywidualne zarysowały się wolniej. Na skonkretyzowanie ich w jakieś symbole trzeba było co najmniej kilku miesięcy, a niekiedy lat. Ale przecież się skonkretyzowały.

Oczywiście najwcześniej nastąpiło to w stosunku do kolegów z działu terenowego. Im też chcę poświęcić to wspomnienie, w którym — mam nadzieję, nie dopatrzą się żółci.

Kamena str. 4

W Turyngii bez plecaka (4)

Buchenwald i Weimar

Marek Adam Jaworski

PROGRAM naszego pobytu uległ jednak pewnej zmianie: w Buchenwaldzie, byłym hitlerowskim obozie koncentracyjnym, odbywały się 11 kwietnia uroczystości związane z 25-leciem wyzwolenia tego miejsca kaźni. Nasi przyjaciele z NRD zaproponowali, abyśmy uczestniczyli w wiecu poświęconym pamięci pomordowanych.

Dzień jest znowu chłodny i pochmurny, sypie śnieg z deszczem. Po drodze zatrzymujemy się w Jenie, skąd zabieramy dr Krohsa, przewodniczącego Komitetu Wojewódzkiego Frontu Narodowego Niemiec Demokratycznych w Gerze, wybitnego specjalistę z upaństwowionych słynnych zakładów Zeissa. Niezmiernie sympatyczny, dystyngowany pan, wykształcony w Wiedniu, służy nam wieloma informacjami. „Bezpartyjny komunista" — tak go przed kilkoma dniami przedstawił tow. Max Schmidt, sekretarz agitacji i propagandy KW SED w Gerze. Zauważyłem, że wszyscy obecni w czasie naszego pierwszego spotkania odnosili się do niego z dużą sympatią i szacunkiem. Teraz dr Krohs (przepraszam, że nie zanotowałem jego imienia) wraca do lat wojny, opowiada o dużych zniszczeniach spowodowanych w Jenie przez nalot samolotów amerykańskich, mówi o tym, ile zrobiono, aby miasto odbudować i przebudować. W jego opowieści przeplatają się wspominki związane z daleką historią. Przecież to tu właśnie w 1558 r. założono uniwersytet, gdzie w XVIII wieku wśród wykładowców były takie sławy jak Fichte, Schiller czy Humboldt. Pod Jeną Napoleon stoczył wielką zwycięską bitwę z wojskami pruskimi („O, spójrzcie, to było właśnie tutaj"). Do Jeny często zaglądał Goethe, który szczególnie lubił te okolice. A słynne zakłady Zeissa powstały ponad 100 lat temu. I obecnie noszą imię swego założyciela („cóż, firma znana w całym świecie"): VEB Carl Zeiss...

Do muzeum martyrologii w Buchenwaldzie dostać się dziś niełatwo. Jedzie autokar za autokarem, suną ciężarówki z żołnierzami zarówno NRD jak i żołnierzami radzieckimi, czasowo — na mocy specjalnych porozumień międzypaństwowych — stacjonującymi w NRD. Milicja drogowa sprawnie dyryguje ruchem. Później, już na parkingu buchenwaldzkim, mieszczącym się obok dawnych budynków SS-mańskich, ustawia każdy samochód zwracając uwagę na zachowanie takiej odległości między poszczególnymi rzędami, aby wóz mógł w każdej chwili swobodnie wyjechać. Niby drobiazg, ale jak on ułatwia pracę kierowców!

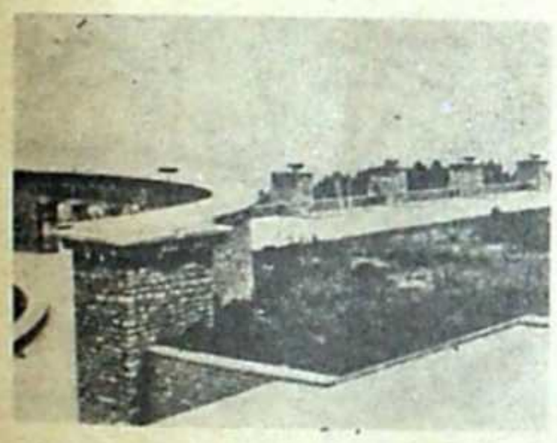

Buchenwald. Aleja Narodów.

Czeka na nas piękna wiązanka kwiatów (chcieliśmy sami kupić, ale gospodarze oświadczyli, że już o tym pomyśleli) z biało-czerwoną szarfą. Idziemy w stronę Alei Narodów, która zaczyna się i kończy przy

Buchenwald. Przed pomnikiem polskim w 25-lecie wyzwolenia ob.zu.

(Zdjęcie autora)

surowych mogiłach z prochami pomordowanych. Wstrząsające wrażenie, które pogłębia jeszcze samo położenie obozu na wyżynie z pięknym widokiem na okoliczne pola. Sama Aleja Narodów przybrała dziś też szczególny wygląd: z jednej strony flagi narodowe tych państw, których obywatele ginęli w Buchenwaldzie, z drugiej — wszystko w alfabetycznym porządku — pomniki z napisami poszczególnych krajów; przed każdym pomnikiem warta wojskowa. Wszędzie płoną znicze. 18 flag. 18 pomników. Podzwonne dla pomordowanych z całej Europy. Ostrzeżenie dla żywych, by faszyzm nigdy i nigdzie nie mógł się powtórzyć.

Składamy wiązanki kwiatów pod pomnikiem polskim.

Na wiecu — kilkanaście tysięcy osób. Wiec odbywa się na placu apelowym. Oficjalne przemówienia, również wystąpienia byłych więźniów obozu. Terkoczą aparaty filmowe, są i przedstawiciele Polskiej Kroniki Filmowej. Wśród więźniów wielu ma w klapach specjalne odznaki — jest i grupa polska. Nie notuję nazwisk: jeden opowiada, że w obozie spędził cztery lata, wahał się, czy tu przyjechać, wspomnienia są ciągle świeże, bolesne. Przed śmiercią jednak chciał tutaj wrócić, oddać hołd pomordowanym przyjaciołom...

W Buchenwaldzie — inaczej niż w b. obozie na Majdanku — prawie wcale nie ma baraków. Przypomina on bardziej b. obóz w Oranienburgu, który oglądałem przed pięciu laty, angażując się bardziej uczuciowo z uwagi na to, że przez ponad półtora roku więziono tam mego ojca. Przypomina w tym sensie, że na miejscu poszczególnych baraków stoją duże kamienne płyty mające te same numery, które miały dawne pomieszczenia haeftlingów. Przemawia to mniej wizualnie niż b. obóz na Majdanku, chociaż zwiedzający mogą zatrzymać się w muzeum obozowym, w którym są liczne zdjęcia, plansze i eksponaty. Zachowały się nawet szubienice, na których wieszano ofiary.

Specjalna sala, ale już w innym miejscu, jest poświęcona wydawnictwom. Znajdujemy tu wiele wspomnień b. więźniów. Pilnie szukałem, ale nie znalazłem ani jednej książki polskiego autora. Przed pięcioma laty spostrzegłem, że również w b. obozie w Oranienburgu pod tym względem nie jest najlepiej. Sądzę, że powinien się tym bliżej zainteresować ZG ZBoWiD-u i nasza ambasada w Berlinie. Polacy stanowili i w Buchenwaldzie duży odsetek więźniów. Jedna z tablic informuje, że w tym miejscu mieścił się mały obóz, w którym zginęło kilka tysięcy Polaków już w 1939 r. W czasie mrozów polewano ich wodą, nie dając żadnego pożywienia.

Obóz w Buchenwaldzie powstał w czerwcu 1937 roku. Początkowo było to miejsce odosobnienia dla przeciwników hitleryzmu. Z chwilą wybuchu wojny zmienił się jego charakter — obóz stał się nie miejscem odosobnienia, ale eksterminacji. W ciągu ośmiu lat przewinęło się tu ok. 250 tysięcy więźniów różnej narodowości. I tutaj hitlerowcy prowadzili różne zbrodnicze doświadczenia — — więźniów zakażano tyfusem plamistym i innymi chorobami. W czasie tych „lekarskich eksperymentów" prawie wszyscy ginęli...

Wracamy z Buchenwaldu poważni i skupieni, nie urzeka nas nawet piękno krajobrazu. Trzeba było wielkiej hitlerowskiej perfidii, aby obóz umieścić w tak malowniczej okolicy, w pobliżu uroczego Weimaru, miasta Goethego.

Właśnie — jeszcze dziś mamy w planie Weimar, zwiedzenie domu Goethego. Dom ten szczęśliwie ocalał w czasie wojny. Był on już wielkokrotnie opisywany w naszej prasie, niewiele wniósłbym nowego, niech lepiej przemówią zdjęcia. Przypomnę, że Goethe przebywał w Weimarze od 1775 r. i tu też 22 marca 1832 r. dokończył swego żywota. Oglądałem pokój, w którym ten 81-letni starzec umierał w wielkim osamotnieniu po stracie żony i zgonie jedynego syna, Augusta.

* * *

Następny dzień — niedziela. Bynajmniej nie przeznaczona na odpoczynek. Spotkanie z sekretarzem Powiatowego Komitetu Frontu Narodowego Niemiec Demokratycznych miasta Gera — Guenterem Ruedigerem i aktywistami Frontu, spośród których wielu piastuje odpowiedzialne funkcje kierownicze —

Weimar. Dom Goethego.

są dyrektorami przedsiębiorstw, kierownikami wydziałów rady narodowej, radnymi. Problemy — podobne do naszych, choć znacznie większe trudności z kadrami i to nawet nie wysoko kwalifikowanymi. Po prostu brak ludzi. Odnieśliśmy wrażenie — i tu jest duża zasługa działaczy Frontu — że poszczególne zakłady pracy więcej niż u nas świadczą na rzecz miasta.

Gospodarze nie przewidzieli, że dyskusja może się przeciągnąć, sala była zarezerwowano na dwie godziny: po naszym spotkaniu odbywało się inne — z młodzieżą, która właśnie dziś, po ukończeniu określonego wieku, składała uroczyste przyrzeczenie, deklarując gotowość służenia socjalistycznej ojczyźnie.

* * *

Do obiadu mamy jeszcze trochę czasu, wykorzystujemy wolne minuty na krótki spacer po mieście. Pierwszy spacer: jesteśmy już kilka dni w Gerze, ale oglądamy ją właściwie tylko z okien samochodu.

Pokój, w którym Goethe zakończył życie.

Gera — stolica okręgu, po naszemu województwa — ma niewiele ponad 100 tysięcy mieszkańców, ale i tak więcej niż w okresie rządów hitlerowskich (według spisu z 17 maja 1939 r. — 83 400); miasto o bogatej historii, pierwsze wzmianki pochodzą z końca X wieku, choć prawa miejskie Gera uzyskała dopiero przy końcu XV wieku. Jest tu silnie rozwinięty przemysł maszynowy, elektrotechniczny, włókienniczy. Tu produkuje się aparaty rentgenowskie, maszyny dla przemysłu włókienniczego, instrumenty muzyczne, dywany.

Zatrzymujemy się przed wystawami. Zaopatrzenie jest dobre, wybór towarów przemysłowych na pewno bogatszy niż w Polsce. Nie dziwota: NRD znajduje się na 10 miejscu pod względem produkcji przemysłowej na świecie. Produkuje więcej niż całe Niemcy hitlerowskie w 1938 r. Sukcesy nie przyszły jednak same: Niemcy umieją pracować i pracę potrafią szanować. Przez cały okres pobytu w NRD nie spotkałem na ulicy ani jednego pijanego. Nie zauważyłem też specjalnego tłoku w restauracjach. Niemcy jadają przeważnie w przyzakładowych stołówkach albo w domu. Tylko w niedzielę z całymi rodzinami zasiadają w lokalach i wówczas trudniej o wolne miejsce.

Moda — coś dla pań — podobna jak w Polsce, chociaż u nas widzi się na pewno więcej gustownie ubranych kobiet. Trochę to dziwi, zważywszy zaopatrzenie sklepów w odzież — u nich i u nas.

Ale — i tu chyba się kryje wyjaśnienie zagadki — w NRD kobiety przeważnie kupują wyroby gotowe. Szycie jest drogie, dwu i trzykrotnie droższe niż w Polsce. Dobra krawcowa jest na wagę złota, wie o tym dobrze i umie się cenić. W ogóle usługi kosztują tu sporo, a znalezienie pomocy domowej jest jeszcze większym problemem niż w Polsce. W sklepach, na ścianach domów widziałem wywieszki: poszukujemy sprzątaczki, poszukujemy kelnerki, poszukujemy ekspedientki. Niektóre urzędy — z uwagi na te trudności kadrowe — radzą sobie we własnym zakresie: po prostu sami pracownicy dbają o porządek. W związku z tym i do czynów społecznych przywiązuje się większą niż u nas uwagę.

A więc rdzenny lubliniak Alek Sroga, mój pierwszy kierownik działu terenowego, dzisiaj czołowy publicysta Polskiego Radia od spraw rolnych i płodny literat warszawski. Czułem się z nim związany predyspozycjami twórczymi, a po części kolejami losów. Miał 17 lat, kiedy w Lublinie „wybuchła Wolność". Alek z grupą kolegów zakonspirowanych w lubelskiej AK zgłosił się ochotniczo do 1 Armii. Zaczął żołnierską drogę pod Lublinem jako niewyszkolony żołnierz, na Wale Pomorskim był już chorążym i zastępcą d/s politycznych dowódcy fizylierskiej kompanii w 3 dywizji piechoty. Ściślej — w 7 pułku obecnie stacjonującym w Lublinie. Podczas szturmu twierdzy kołobrzeskiej po swym rannym dowódcy objął kompanię, chociaż był w niej najmłodszy wiekiem. Wrócił do Lublina ze stopniem podporucznika, Krzyżem Walecznych i ciężką raną. Wkrótce przyszedł do „Sztandaru Ludu" i zasłynął jako najbardziej operatywny dziennikarz. Niezmordowana aktywność nie przeszkodziła mu uzupełnić wykształcenia — w roku 1952 zdobył nawet stopień magistra chemii w lubelskim UMCS-ie. Kipiał energią i polityczną aktywnością. W tej ostatniej dziedzinie trącił gorliwością neofity, który niepotrzebnie usiłował zmazać grzech młodości, za jaki uważał swą byłą przynależność do AK. Za mistrza pióra go nie traktowałem — brakowało mi w jego twórczości gry wyobraźni i chyba tej jedynej, niepowtarzalnej cechy twórcy — umiejętności zadumy filozoficznej nad światem, ludźmi i samym sobą. Jego styl pracy budził szacunek. Twardy był w niej dla podległego zespołu, ale najtwardszy dla samego siebie. Na takiej podstawie wolno stawiać wymagania.

Senior naszego działu, Stefan Fudko, był lirycznym flegmatykiem, zaś w poglądach politycznych trochę utopistą. Nie śpieszył się nigdy, swoje rzadkie artykuły pisał kaligrafując litery, a kaligrafia wiadomo — jest pracochłonna. Więc każdy artykuł pisał długo, z widocznym brakiem inwencji, ale rzeczowo. Bruliony artykułów iluminował za to udatnymi rysuneczkami pornograficznej treści, zręcznie też składał na ten temat fraszki i ballady. Czytelnik daruje, że ich nie zacytuję, chociaż Stefan, żyjący w Lublinie do dziś, na pewno by się o to nie pogniewał. Bo zresztą Stefan nie umiał się gniewać na nikogo, można powiedzieć — miał miód w sercu. Ta zaleta nie pozwalała mu nawet przy jego myśliwskiej żyłce stać się „zbójcą krwi chciwym", co odbijało się na ilości jego trofeów. Zawsze pogodny i łagodny, w poglądach politycznych był antyortodoksem, ale jemu nawet wtedy nikt nie brał takiego myślenia za złe, bo Stefan z ruchem robotniczym zetknął się blisko jeszcze przed wojną i pod tym względem również był nestorem.

Felek Praszczak reprezentował lubelskie przedmieście. Jeśli dodam, że Helenów, to stary, rdzenny lubliniak będzie wiedział, że chodzi o kogoś wyrosłego w kręgu glinianek i cieniu komina cegielni, gdzie przed wojną nocą nawet policja nie lubiła zaglądać. Z zawodu był murarzem. Zdolny samouk, ciągle ciekawy świata, potrafił zdobyć znaczną, choć niedostatecznie poukładaną wiedzę. Biegle orientował się w problemach życia i obyczajów, przede wszystkim środowisk, które w szeregu społecznych grup znajdowały się bliżej glinianek. We Lwowie powiedzieliby o nim: batiar. Posiadał jeden niewątpliwy „nerw" dziennikarski, polegający na tym, że żadne wyruszenie w teren nie może nie przynieść materiału do zaplanowanego tematu. Stąd jego artykuły, nawet kiedy nieco rozmijały się z rzeczywistością, zawierały kompletne udokumentowanie. W robocie był ofiarny, pisał dobrze, bez literackich uniesień. W życiu prześladowały go cienie z kręgu glinianek. Wbrew nim był wesoły, lubił facecje i niekiedy sam stawał się ich podmiotem.

W okresie trudności mięsnych i podbijania bębenka w dziedzinie hodowli pisaliśmy systematycznie o „przodujących hodowcach". Felek przywiózł materiały o pracy pewnego punktu skupu żywca, wraz z fotografią, na której z krzyżykiem nad głową, zrobionym Felkową ręką, figurował samotny chłop w towarzystwie olbrzymiego opasa. W legendzie na odwrocie fotografii napisał: „Przodujący hodowca X odstawił do punktu skupu w Y tucznika wagi 320 kg. Na zdjęciu: X ze swym tucznikiem". I dalej, jak zazwyczaj w nawiasie: („Hodowca oznaczony krzyżykiem").

Innym razem Felek pojechał do spółdzielni produkcyjnej w Milejowie. W zakresie maszyn rolniczych spółdzielnię obsługiwał POM w Ciechankach. Wśród jego traktorzystów słynęła kobieta nie raz opisywana w gazetach, o posturze typowej „hic mulier". W Milejowie Praszczak dostał się w obręb działania tegoż POM-u w Ciechankach. Był listopadowy ranek, dość zimny, że nawet pieszy marsz z odległej stacji kolejowej nie rozgrzewał. Zziębnięty Felek pośpieszył na plac, gdzie właśnie zaczynał strzelać motor „Ursusa", tylko co zapalony przez rosłego traktorzystę. Dziennikarz przywitał się, przedstawił i uciął sobie pogawędkę na temat jesiennych orek, ale nagle przypiliła go drobna potrzeba fizjologiczna. Rozkraczywszy się niefrasobliwie przy traktorze zaczął się załatwiać. Miał przy tym pewne trudności, więc stwierdził koleżeńskim tonem:

— Ale dziś zimno, ręce mi zmarzły, że rozporka nie mogę rozpiąć...

Skończył, pożegnał się i już ruszał dalej, ale na moment jeszcze się zatrzymał, aby spytać:

— Hallo, kolego, zapomniałem was spytać o nazwisko. Jak się nazywacie?

— Ja? — traktorzysta spojrzał obojętnie. — Maria Krawczyk.

— Jak? — zdumiał się Felek. — Chyba Marian!

— Nie — usłyszał w odpowiedzi — Ja jestem kobieta.

Najmłodszym terenowcem był Józef Porębski, obecny sekretarz redakcji. Przyszedł do niej z Zamościa, po odbyciu obowiązku pracy w „Służbie Polsce"; wraz ze swym „junakowym" kolegą Ryśkiem Smożewskim został wybrany przez redakcję spośród terenowych korespondentów. Był obowiązkowy, pilny i przykładnie subordynowany. Chętnie słuchał rad doświadczeńszych od siebie, przed innych się nie przepychał. Zresztą jeszcze uzupełniał wykształcenie i przy swym uporze nie tylko ukończył szkołę średnią, ale również nauczycielskie seminarium, chociaż w tzw. międzyczasie odbył pełną służbę wojskową. W pisaniu raczej nie zdradzał polotu, chyba nie dosyć wierzył we własne siły, aż raz... Na jednym z wyjazdów Józek spotkał Zojkę — młodą robotnicę z Lublina, aktywistkę ZMP. Wysyłanie miejskiego aktywu różnych organizacji na dłuższy czas w teren było wtedy stosowane nagminnie i przy byle okazji. Zojka została wysłana bodaj że w sprawie obowiązkowych dostaw. Nie jestem pewny, czy Józek zapalił się twórczo do społecznej działalności Zojki, czy też do jej walorów dziewczęcych, dość że po powrocie od razu machnął reportaż tak prawdziwy w swym wyrazie i pełen specyficznego klimatu, a równocześnie tak hemingweyowsko dynamicznym stylem, że byłem zdumiony i najszczerzej mu gratulowałem. Widocznie nie tylko Dantemu przydawała się Beatrycze...

Przeszło przez dział terenowy jeszcze sporo innych pracowników, ale raczej nie pozostawiali śladów, tak w pracy działowego kolektywu, jak i w koleżeńskiej pamięci. No cóż — nie każdy rodzi się dziennikarzem, chociaż nawet czasem opanowuje tę profesję, i nie każdy w tym zawodzie może zostać „terenowcem".

Leszek Siemion

Rozmowa z Kazimierzem Grześkowiakiem

Dokończenie ze str. 1

— Tremę miałem fatalną, wszak chodziło o pierwszy w życiu kawałek etatu.

— *Zamieściłem wówczas w „Kurierze Lubelskim" informację, z której wynikało, żeś najwspanialszy... W głębi ducha miałem jednak pretensję, później — kiedy już brylowałeś na estradach „Europy", „Powszechnej" i „Lublinianki" — narastającą, że odchodzisz coraz częściej od wokalistyki w stylu Mahalii Jackson, którą popularyzowałeś w „akademiku", dorabiając się przy okazji epitetu „Wyjca". Podczas transmisji telewizyjnej z twojego pierwszego Opola nie wierzyłem oczom i uszom: gdzie się podział ekspresyjny bohater akademickich jam-session, skutecznie zakłócający nocny spokój dobrodusznym kolegom i pewnemu kapralowi rezerwy?*

— Gdy się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma... Mahalia Jackson jest nadal całym moim cudem piosenkarskim, ale zdaję sobie dobrze sprawę z pewnych uwarunkowań. Jak Bozia nie dała głosu wielkiego, a wychowanie w latach dziecięcych dobrej artykulacji, dykcji, to należało wybrać coś innego, choćby kabaret. Nie chcę w ten sposób deprecjonować innych kabareciarzy; rzecz w pokorze, którą pojmuję jako znajomość własnej kondycji. „Znaj kondycyją, mocium panie" — mądrze mawiał Zagłoba.

— *Wygląda na to, że jesteśmy krajem ludzi pokornych, z dziecinną łatwością odnajdujących swoje miejsce w nie najwyższych rejonach kultury artystycznej. Tysiące wykonawców, setki tysięcy odbiorców piosenki — to mi trąci niezawinionym ograniczeniem wrażliwości i ambicji.*

— Prowokujesz... Wiesz dobrze, że tradycyjna hierarchia sztuki jest obecnie kupą złomu... Po cichu wyznać przecież muszę swoje zaniepokojenie faktem, że najbardziej dziś nośnym gatunkiem artystycznym jest piosenka. Dobrą piosenkę przekładam jednak nad chałowatą powieść.

— *Głośno myślę: siedemnastowieczna commedia dell'arte, wywodząca się ze starszej farsy ludowej fabula Atellana, niezwykle wówczas popularna forma widowiska ludowego, miała poważny udział w rozwoju teatru w ogóle; współczesność teatralna i dziś jeszcze przywołuje pewne jej elementy.*

— Właśnie... Piosenka jest czymś ulotnym, barwnym, ot — koliberek wdzięczny, lecz jeśli zastępuje wszystko: książkę, teatr, plastykę, to staje się substancją zrakowaciałą na gruncie kultury... Niby pluję na własne gniazdo, ale to prawda. Zresztą ja się nie czuję piosenkarzem, a przede wszystkim autorem tekstów, potem kompozytorem, a dopiero na samym końcu wykonawcą.

— *Twoje piosenki mają walor rozrywkowy przez swój dowcip, swoją muzyczność budowaną na zasadzie plebejskiej przyśpiewki z przytupem. Choćby „Kawalerskie noce".*

— Uważam ją za jedną z lepszych moich piosenek: trafia chyba w mentalność małomiasteczkowej kawalerki, opartej na krwawo-pijackich szpanowaniach.

— *Czy jej treść nie byłaby aktualna, powiedzmy, 35 lat temu?*

— Obawiam się, że będzie aktualna jeszcze dobrych kilka lat. Małe miasteczka pozostały nieco na uboczu wielkich zmian społecznych i ekonomicznych, wyprzedzających psychiczne... Z tymi pseudodintojrami, pseudoromantyzmem...

— *Z anachronicznymi modelami życia.*

— Najgorsze, że te modele się powiela. Telewizyjny „Show na Gnojnej" Jaremy Stępowskiego forował nic innego, jak fatalny model cwaniaczka, co to sflekuje i podbije, propagował romantyzm kiosku z piwem. Słusznie wytykano nam, „Silnej Grupie", udział w tym programie... Sami jego autorzy są ludźmi niezwykle sympatycznymi, a odbiorcy przenoszą uczucia sympatii do wykonawcy na postacie, które on, jako aktor, stwarza. To podstawowe prawo psychologii.

— *Twoich „Panien z Cicibora" wieś nie wzięła jednak jako propozycji stylu bycia. Posypały się protesty, słynny „karawan pojednania", którym wraz z grupą zwolenników zajechałeś do Cicibora, został zbojkotowany: kto wie, co by było, gdyby nie umundurowana eskorta. Śpiewałeś o czymś, czego wieś się wyrzeka wiedząc, że to coś jeszcze się w jej środowisku pleni.*

— Nie zauważono liryzmu i życzliwości, zawartych w tej piosence. Zresztą „Panny" należą do odległej przeszłości i nie cenię ich wysoko: zarejestrowałem utwór na płycie i koniec.

— *Który więc ze swoich wcześniejszych utworów uważasz za najciekawszy?*

— „Świątka".

— *Roześliłeś się na jego posiadaczy...*

— Bo albo go ukradli z przydrożnej kapliczki, albo kupili od złodzieja, może za pośrednictwem państwowej „Desy". Ważniejsze jednak są motywy posiadania ludowej rzeźby w salonie. Z wewnętrznej potrzeby? Bzdura. Świątki, jak i ikony rozkradane z bieszczadzkich cerkiewek, nawet przez studentów historii sztuki, stały się po prostu modne. Wypadało więc, aby „kulturalne" mieszkanie świeciło takim symbolem przynależności do society, dowodząc jednocześnie, że właściciel jest mecenasem sztuki. A to złodziej i snob, nie mecenas! Miejsce niszczejących w terenie zabytków sztuki ludowej jest w skansenach i innych muzeach, a jedynym mecenasem powinno być państwo.

— *Wydaje mi się, że moda na świątki i ikony jest pochodną szerszego i wcale nieefemerycznego zjawiska, jakim było swego czasu odkrycie i zaakceptowanie sztuki prymitywnej i egzotycznej przez plastykę nowoczesną. Stało to się dość dawno, a teraz, naturalną w rozwoju kultury koleją rzeczy, dotarło do szerszych kręgów społecznych. Że większość zabiega o świątki ze snobizmu, to inna sprawa... Sądząc po tematach twoich piosenek jesteś ostro widzącym... dziennikarzem, odwołującym się do opinii publicznej przy pomocy poetyckiej metafory i melodyjnej muzyki, przypominasz też po trosze średniowiecznych trubadurów i wędrownych rybałtów, bo łączysz w swoich utworach lirykę z satyrą. Czy szukasz tematów, powiedzmy to tak, metodycznie?*

— Na pewno nie grzebię w folklorze, bo uważam, że w żywej postaci już nie istnieje — pozostały stylizacje, które mnie nie interesują... Żadnej metody nie mam, po prostu słucham, co ludzie mówią, obserwuję, chodzę do lubelskiego klubu „Nora", aż nagle w strumieniach słów, obrazów i informacji coś się zapali, jakieś małe światełko: „z tego można zrobić piosenkę!" Na przykład „Kawalerskie noce" poczęły się w „Norze": wielokrotnie słuchałem opowieści pewnego pana o tym, jak to góral pił wódkę; nie myślałem w ogóle o piosence na ten temat. Aż zabłysło światełko: przecież ta opowieść jest znakomitą ilustracją powstawania taniutkiego mitu, zawieszonego na idiotycznym, pijackim pseudoromantyzmie.

— *Zyskałeś popularność. Jakie odnosisz wrażenie w momencie rozdawania autografów: czy ludzie pchają się do Kazimierza Grześkowiaka, czy też do „Grześkowiaka z telewizji"?*

— Do „Grześkowiaka z telewizji".

— *Nie dokucza ci czasami ta popularność?*

— Bardzo. Czuję się jak bezosobowa kukła. Jeden z wielu przykładów: jem obiad w spokojnej restauracji, podchodzi do mnie zupełnie trzeźwy facet i mówi: „Pan Grześkowiak? To dobrze, bo się założyłem z kolegami że to właśnie pan. Ja bardzo proszę, niech pan podejdzie do naszego stolika i potwierdzi swoją tożsamość, bo inaczej mi nie uwierzą. Albo niech pan mi pożyczy na dwie minuty swój dowód, to też wystarczy". Marzyłem kiedyś o popularności. A jak Bóg karze za głupie marzenia? Sprowadza je człowiekowi... Chyba zajmę się wyłącznie pisaniem — śpiewogry, widowiska telewizyjnego, może też powrócę do felietonu prasowego, który kiedyś uprawiałem.

— *Ale w hołdowaniu piosenkarskim idolom lud przekracza często granice przyzwoitości. Głośny piosenkarz budzi sensację niczym nowy model „Forda-Mustanga".*

— Przypomniałeś mi pewną anegdotę: Niemen po śmierci idzie do nieba, spotyka Pana Boga, na powitanie podają sobie dłonie, przedstawiają: „Pan Bóg jestem", „Niemen..." — Pan Bóg przerywa: „Pan nie potrzebuje się przedstawiać...".

— *Czy istnieje recepta na przyrządzenie lekkostrawnej piosenki?*

— A jakże! Bierze się dwa kanta ośmiotaktowe po cztery wiersze i ośmiotaktowy refren, zaprawia się to szlawortem, czyli ładnym zwrotem, zdaniem, które może być przysłowiem, na przykład „dziś do ciebie przyjść nie mogę", „za trzydzieści parę lat", „chłop żywemu nie przepuści". Muzyka powinna być chwytliwa, trzy akordy na końcu, kanto może mieć muzykę trudniejszą, ale refren koniecznie łatwą, taką, co to ludzie raz usłyszą i od razu śpiewają... Proste, prawda?

— *Przypomina to taśmę produkcyjną, podporządkowaną w swym biegu rygorom technologicznym.*

— W stosunku do Zachodu jesteśmy jednak dziećmi. Tam piosenka nie jest dziełem kompozytora, autora, aranżera, reżysera i impresaria, który ją rozprzestrzenia. Nie, tam są specjaliści od szlawortu, czyli motywu przewodniego; od dowcipasów słownych — kalamburków, śmiesznych rymów; od muzyczki — którzy dokładnie wiedzą, że w tej właśnie chwili ludzie kupują piosenki oparte na skali dorycklej; od nagrań — którzy też muszą wiedzieć, czy idzie akurat pogłos lub kilkakrotne nagranie jednego głosu na jeden kanał.

— *Fabryka, mówiąc krótko.*

— Produkująca na dodatek rzeczy nieco wybrakowane, bo z mizernymi tekstami. Jeśli chodzi o piosenkę kabaretową, to obok Francji jesteśmy na pewno potęgą w świecie. Kompleksy są zupełnie nieuzasadnione... Piosenka tego typu pięknie rozwija się ostatnio w Związku Radzieckim. Znany u nas Okudżawa ustępuje, moim zdaniem, Wysockiemu, który śpiewa w maleńkiej salce teatru „Na Tagance". Oj, można go słuchać! Kraje socjalistyczne są znacznie bogatsze tematycznie od Zachodu, więcej u nas kontrastów, autentycznych problemów. Zachód jest stereotypowy, ich piosenkarstwo wyczerpuje się na kilku tematach — l'amour, pejzaż, jakie to życie bezsensowne, wojenka, nie wojna.

— *Obawiam się jednak, że nie wszyscy dostrzegają to bogactwo, tę szansę autentycznej odrębności.*

— Masz słuszność. U nas chwyta to, co ma „nylonowy stempelek". Walczyło się o piosenkę zaangażowaną we współczesność społeczną i polityczną, to jej nie było. Do momentu, kiedy na zachodnim horyzoncie nie pojawił się protest: — song i Bob Dylan. Teraz zalewa nas „zaangażowanie". Cierpnie mi skóra, kiedy słucham czterech chłopców o dość tępych wyrazach twarzy, w przedziwny sposób zawodzących, w sposób beznamiętny, jeśli nie krotochwilny, taki oto tekst: „Gdy bomby padają na nasz dom / Dzieci wietnamskich słyszę płacz". Przekracza też chyba granice przyzwoitości podgrywanie na dancingu „Dziś w sercu serdeczny czuję żal / Straciłem ciebie matko". Podobna sprawa z „kaznaczokiem", który upowszechnił się u nas via kraje zachodnie.

— *Powróćmy jednak do twojej twórczości, bo dotknięty temat przypomina swoją szerokością rzekę. Czy tę samą piosenkę śpiewasz niejako ciągle od nowa, z równym napięciem emocjonalnym?*

— Po koncercie, który do łez wzruszył słuchaczy, Edith Piaf powiedziała: „no, teraz kupię sobie nowy wóz"; słowa te znalazły się później w jej pamiętnikach, szokując i oburzając niejednego z jej wielbicieli, mnie także. Niedługo potem miałem przekonać się o swojej wówczas świętej naiwności. Występuję 300—400 razy w ciągu roku, śpiewając ten sam utwór po 600—800 razy. Czy mogę odczuwać tę piosenkę, przeżywać ją tyle razy na nowo?! Okres autorskiego przeżywania piosenki trwa przeciętnie 3 tygodnie — martwię się wtedy o ekspresję sceniczną, o gest, o pamiętanie tekstu. Potem włącza się automacik, coś w rodzaju samoobrony biologicznej, która ratuje od kręćka.

— *Twórczość „dzieje się" w zasadzie poza estradą, w momencie pracy nad utworem, czy tak?! Przypomina mi to sytuację artysty plastyka, który całą swoją najbardziej autentyczną sprawę realizuje w pracowni. Etap wystawy może być w tym układzie czymś żałosnym. Wiem, że niejeden artysta jest prawdziwie zażenowany, uczestnicząc w wystawie własnych prac, otoczony wyfiokowanym tłumem, nękany świadomością popełniania kompromisu.*

— Tak, to dobra analogia. Twórczość dzieje się w trakcie roboty. Potem jest to, o czym mówił Stachura: „sprzedaję historie, kto chce, niech żre"... Prawa odbioru są zresztą obłędne, naginają do kompromisów: ten gest nie bierze publiczności? — w zapasie mamy inny, czynimy kiki, tiki nóżką, rączką, uszkiem, wrzuca się jakiś kalamburek... Od czasu do czasu robię występ dla siebie, sprawdzam się i... włos się jeży! Nie kokietuję mówiąc, że niedługo pożegnam się ze śpiewaniem.

— *Gdzie jest lepsza, wrażliwsza publiczność: w małych czy dużych miastach?*

— Nie ma reguły. Występujemy w Rzeszowie — rozpacz, nie widownia. Kilka dni później zajeżdżamy do powiatowego Jarosławia — cudowna publiczność, wrażliwa, odpowiednio reagująca. Z podobną zetknęliśmy się m. in. w Białej Podlaskiej, Gorzowie... Z jaką publicznością będziemy mieli do czynienia, wiemy już kilka godzin przed występem. Przyjeżdżamy na miejsce koncertu wcześnie, żeby przygotować się do występu, spokojnie zjeść obiad. Jeśli włóczą się za nami,

→

Tu jest samochód nie uniwersytet...

Dokończenie ze str. 1

słuchał wiadomości ze świata, albo pilnie śledził prognozy pogody dotyczące terenów, przez które przejeżża. Kilkanaście ton ładunku za plecami zobowiązuje. Inaczej się jeździ po mokrej jezdni, a inaczej przy gwałtownych porywach wiatru. Jeśli taka „stodoła", jak nasz „Jelcz", wyskoczy na nie zadrzewioną przestrzeń, a kierowca nie będzie uważał i nie skontruje kierownicą, ostry podmuch powietrza może nawet przewrócić samochód. Zdarzały się takie wypadki.

Jak wygląda dzień pracy kierowcy ciężarowego PKS na długich trasach? Oto „dziennik podróży" z Lublina do Wrocławia...

Poniedziałek, 1 czerwca.

Godz. 11.30.

Placówka terenowa PKS przy Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku. Stąd codziennie wielkie ciężarówki zabierają partie nowiutkich motocykli „WSK — M 06 B1" czyli popularnych „stodwudziestekpiątek" i rozwożą do sklepów „Motozbytu" w całej Polsce. WSK posiada stałą umowę z PKS-em. Transport ciężarówkami opłaca się o wiele lepiej niż koleją. Odpadają przestoje na dworcach kolejowych i kłopoty związane z transportem towaru z dworca do sklepu położonego w głębi miasta. Można by powiedzieć, że motocykle podróżują „ekspresowo". Dzisiaj maszyna opuszcza taśmę produkcyjną w Świdniku, a jutro w południe już stoi na wystawie sklepowej we Wrocławiu lub Szczecinie.

Na szosach kraju, od Krakowa po Olsztyn, często mijają się ciężarówki z lubelską rejestracją. Tutejszy oddział dysponuje pięciuset samochodami. Olbrzymie hiszpańskie ciągniki siodłowe „Pegasso" zabierają do swojej naczepy osiemnaście ton ładunku. Kursują przeważnie na liniach międzynarodowych, od Leningradu po Sofię. Ale podstawa transportu to krajowe, ośmiotonowe „Jelcze" i „Żubry", zabierające w razie potrzeby na ośmiokołową przyczepę dalszych dziesięć ton towaru.

Godz. 11.45.

Na plac przed magazynem motocykli zajeżdża ciemnozielony „Jelcz 315" z przyczepą. Wysokoprężny, dwustukonny silnik produkowany na licencji „Leylanda" może bez wysiłku, bez zważania na falistość terenu, ciągnąć osiemnastotonowy ładunek z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Samochód wraz z przyczepą to wręcz cały „pociąg drogowy", długości ponad dziesięciu metrów i wysokości 3,6 m. Samochód, który zajechał na plac, należy do grupy wozów „specjalizowanych". To znaczy przystosowanych do przewożenia pewnego określonego ładunku. W danym przypadku budy ciężarówki i przyczepy są wyjątkowo wysokie, ponieważ pod plandeką mieści się stalowa konstrukcja wagi 3 ton, pozwalająca przewozić motocykle na dwóch poziomach i zapewniająca pełne bezpieczeństwo ładunku.

Godz. 11.50.

Podczas gdy kierowca załatwia w biurze placówki formalności związane z przewozem, do pracy przystępuje czterech robotników — ładowaczy. Sprawnie i szybko wyprowadzają z magazynu motocykle i ustawiają się na placu, grupami po trzy, na rozłożonych na ziemi „paletach". Paleta to niewielki drewniany pomost ze sprężynowymi uchwytami. Po założeniu takich uchwytów na motocykl i unieruchomieniu jednocześnie trzech ram motocyklowych przy pomocy drewnianych zacisków, ładunek „zrasta" się z paletą w jedną całość.

Godz. 12.15.

Na plac wjeżdża mały, jaskrawożółty podnośnik widłowy „Zremb". Chwyta „widłami" pierwszą z brzegu paletę i rusza w kierunku stojących obok siebie — ciężarówki i przyczepy. Teraz „widły" zaczynają wędrować w górę i po chwili niewielkie kółka, w które zaopatrzona jest paleta, trafiają na „szyny" konstrukcji nośnej znajdującej się pod budą samochodu. Ładowaczowi wystarczy wykonać jeden ruch ręką, aby trzy motocykle potoczyły się w głąb ciężarówki.

Godz. 12.30.

Cała „operacja" skończona. W ciągu 40 minut pobrano z magazynu i załadowano 54 motocykle. 24 na samochód i 30 na przyczepę.

Godz. 12.45.

„Jelcz 315" wyrusza w dziewięćsetkilometrową podróż do Wrocławia i z powrotem. W baku i dodatkowo zamontowanych zbiornikach wiezie 300 litrów ropy. Właśnie tyle, ile potrzebuje na przebycie wspomnianej trasy. Gdyby jednak po drodze zaszła konieczność uzupełnienia paliwa, kierowca może się w nie zaopatrzyć w jednej z licznych, rozsianych po drodze placówek PKS. Nie potrzebuje przy tym płacić za paliwo, nie musi posiadać — jak kiedyś — specjalnych kuponów. Ilość wlanych do zbiornika litrów kierownik stacji benzynowej wpisuje mu po prostu do karty drogowej. A potem już oddziały PKS z różnych województw rozliczą się między sobą. Podobnie — gdy na trasie kierowca znajdzie się w tarapatach finansowych, w każdej placówce przedsiębiorstwa otrzyma zaliczkę pieniężną.

Godz. 15.00.

Między Puławami i Radomiem skończyła się piękna, słoneczna pogoda, nadciągnęły chmury, leje deszcz. Z głośnika płynie muzyka z Gdańska. Gdańsk coś przypomniał panu Edziowi, wyłącza radio:

— Mówił mi jeden kumpel, że w Gdańsku mieszka cudności dziewczyna. Prowadzi małą knajpkę i ma męża marynarza. Baba w sobie jak armata, znaczy kocioł niesamowity. I co pan powiesz, co mi opowiadał ten wspomniany kolega... Otóż ona moralność swoją posiada, ale jak sobie gruchnie kielicha, a stary akurat w rejsie, lubi się rozbierać. Nie, żeby tam zaraz jakieś rzeczy w tym tam rodzaju. To, to nie. Ale ona, uważa pan, tatuaż posiada na brzuchu — ten marynarz ją tak urządził czy co? — i to jest strzała a nad nią napis: „To dla ciebie". A, że tak powiem, na odwrocie, jest odrobiony jak żywcem kot, co goni mysz. Co to jednak babom przychodzi do głowy, jak siedzą długo bez chłopa w domu...

Godz. 18.00.

Deszcz ustał. Dawno minęliśmy Radom, dojeżdżamy do Opoczna.

— Szefie — powiada delikatnie Wiesio — coś by się przekąsiło...

— Ty wiesz, to jest myśl — mówi pan Edzio. — No to walimy do „Opocznianki".

Wyprzedza nas szara „Nysa" ze znakami PKS i lubelską rejestracją.

— Widzisz, Wiesiu, Józio-Złoty Ząbek. Chyba leci do Łodzi. Jak się zatrzyma w „Opoczniance", zrobię jemu kawał.

Kamena str. 6

podśpiewują, skrzeczą, to wiadomo, że tu nie będzie dobrej publiczności. I przeciwnie: dyskretna, zdwojona uprzejmość ludzi gwarantuje przyjemny koncert. Mamy też inny barometr, nie mniej czuły, który przy okazji uświadomił mi ogromne znaczenie terenowych placówek kulturalnych. Powiem krótko: jeśli w danej miejscowości znajduje się dobrze działający dom kultury, mamy zapewnioną publiczność kulturalną, przed którą z satysfakcją występujemy.

— *Kilka miesięcy temu byłeś z „Silną Grupą" w NRF. Jakie wrażenia przywiozłeś?*

— Kraj zamożny, wiele rzeczy nas szokowało. Ale żyć tam nigdy bym nie chciał. Występ „Silnej Grupy" przyjęto dobrze; część programu opracowaliśmy w języku niemieckim, część po polsku. Było to w Duesseldorfie, w ramach pierwszego po wojnie „Polskiego Koncertu Galowego". Następnie w Kolonii nagraliśmy sporo metrów taśmy magnetofonowej dla tamtejszej rozgłośni radiowej. Jesienią wybieramy się powtórnie do NRF, tym razem na jakieś półtora miesiąca.

— *Wiesz dobrze, że krążą mity o waszych zarobkach, o zarobkach piosenkarzy...*

— Nikt jednak nie pofatygował się za kulisy tego mitu, nikt nie zapytał, ile wysiłku wkładamy w przygotowanie jednej piosenki. Pozwól, że skorzystam z okazji i odpowiem na nie postawione publicznie pytanie. W tej chwili z Tadkiem Chyłą, Jackiem Nieżychowskim i Andrzejem Zakrzewskim występujemy — zresztą od dłuższego czasu — z recitalami. Obliczono, że fizyczny wysiłek, związany z jednym recitalem, równa się przebiegnięciu 15 kilometrów. Poza tym cena czasu: jeśli występujemy dwa razy dziennie, pochłania nam to 12 godzin. A długie godziny prób, pracy kompozytorskiej i nad tekstami? Tego już nie liczę. A wysiłek nerwowy? Warto też wiedzieć, że piosenkarzom nie przysługuje ubezpieczalnia, płatne urlopy, nie mogą niczego kupić na raty... Nie narzekam, po prostu wyjaśniam.

— *Kiedyś, w lubelskiej restauracji „Europa", również wyjaśniałeś orkiestrantom sens opracowanego przez siebie tańca „z dzwoneczkami", co przyjęto z pewną rezerwą, sfinalizowaną wyproszeniem autora pomysłu z zespołu... A propos: jakie były dalsze losy tego tańca?*

— Raczej dopiero będą: pod nazwą „Quasimodo" posłużę się nim do sparodiowania mechanizmu lansowania przebojów.

— *Doświadczasz moją cierpliwość.*

— No dobrze, ale tylko dwa wersety, bo i tak ci więcej nie zamieszczą: „Gdy zadzwoni mój dzwoneczek / Już mi dziewczę nie ucieczesz".

Rozmawiał
Ireneusz J. Kamiński

Relacja księgofilska na odpowiedzialność szefa

Maciej Podgórski

— Niech mi pani wybierze coś lekkiego i dowcipnego, tak — aby pasowało do butelki czystej wyborowej... rys. L. Szalecki

SZEF powiedział: *delegacji nie będę ci wystawiał, bo i po co. Pójdziesz w miasto rozejrzeć się, co przeciętny Lublinianin może sobie kupić do poczytania z nowości, gdy na urlop jedzie. Jakieś lektury do pociągu, lżejsze rzeczy, kieszonkowe, na plażę albo gdy deszcz pada. Książki niewielkie, tanie, bo przed samym urlopem forsa na co innego potrzebna. Zareklamuj trochę te książeczki. I żeby było dowcipnie...* Tak powiedział szef.

Szef kazał, poszedłem sprawę obadać. Do reprezentacyjnej księgarni w tym grodzie. Tu jednak wpierw zaspokoiłem egoistyczne gusta, kupując zbiór esejów Włodzimierza Maciąga „Sprawa literatury". O tej to książce — ważnej! — dopiero chciałoby się pisać. Ale dosyć i tak już prywaty podczas pracy. Zresztą szef.

Kieszonkowe, tanie, niewielkie. Owszem są. Stare i nowe. Bez cudzysłowu. W gablocie, a szczególnie w magazynie. Stosy. Może sobie Lublinianin zawsze kupić, ale jakoś nie chce. Słabo chwyciła na tak zwanym rynku seria „Koliber", wydawana przez „Książkę i Wiedzę". Małe tomiki — o nakładzie ponad 100-tysięcznym, po 4 złote polskie sztuka. Upowszechniają prozę klasyków dawnych i współczesnych, obcych i rodzimych. Sienkiewicz, Żeromski, Dąbrowska, Iwaszkiewicz, Conrad, Mann, Hemingway, Capote, Saroyan... I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie aspirynowo blade okładki, nudne po prostu. Taka okładka musi krzyczeć — kolorem, ruchliwym rysunkiem. Wtedy książka ma szansę przyciągnąć nawet — i właśnie — mniej wyrobionego czytelnika. W środku może być papier najgorszy, lecz okładka lakierowana, błyszcząca, barwna, choćby nawet całość kosztowała, powiedzmy, 6 zł albo i trochę więcej. I nikt nikogo nie musiałby traktować tu jako naiwne dziecko. Bo nikt nikomu nie wtryniałby lipy, tylko dobry towar w atrakcyjnym opakowaniu. To jest handel ze szlachetnym celem.

Dygresję mało dowcipną zrobiłem, boć kieszonkowe, tanie i niewielkie te książeczki zazwyczaj nie są ani „lżejsze", ani „łatwe", ani „urlopowe" — jak zawsze prawdziwa literatura. Co, oczywiście, nie znaczy, że w ogóle nie trzeba nam innego pisarstwa, gdzie poniesione koszta wewnętrzne, zarówno autora jak i czytelnika, nie byłyby zbyt wysokie. Rozrywka i koniec.

Powiada Maciąg — *Literatura jest formą budzenia wzajemnych zobowiązań pomiędzy autorem i czytelnikiem, formą porozumienia, z którego wynikają jakieś konsekwencje, jakieś rewizje wewnętrzne, fermenty, jakieś w końcu nieuniknione uczulenia i blizny.* Jeśli na taką literaturę mogłeś sobie pozwalać w ciągu jedenastu pracowitych miesięcy, to podczas urlopu, wylegując się przykładnie obok żony na plaży, zerkając tylko boczkiem ku dziewczynom, nie musisz mieć szczególnej ochoty na rewizje wewnętrzne, intelektualne zobowiązania. Możesz wtedy nabyć książkę lżejszą, a najlepiej zaopatrzyć się w nią przed samym wyjazdem. Będziesz miał pewność rozrywki.

Nabrzmiały takowymi przeświadczeniami — dla pięknoduchów trywialność moja absolutna — próbowałem rozpytywać osoby kompetentne, czy istnieje jakaś skłonność naszych oficyn do uwzględnienia zwiększonych w okresie urlopowym zapotrzebowań rynku na literaturę rozrywkową? No i co? Ano niewiele. Bo nikt nie słyszał o czymś takim. *Ruch wydawniczy to jest zbyt wielka machina na tego rodzaju drobiazgi* — tłumaczono mi. — *Ruch wydawniczy to jest wielka machina...*

Więc jak w końcu? Normalnie. Przeciętnie, jak w ciągu roku. „Kryminały" gdy są, znikają natychmiast. 300 egzemplarzy w dwa dni. *Ma pani jakiś nowy „kryminał"? Jest. Ja wezmę.* Bez oglądania, grunt, że nowy. Tak się kupuje „Z notatnika oficera MO" R. Kaczorowskiego, niezła chyba rzecz, bodaj na autentykach oparty cykl opowieści. Za 10 zł wydawnictwo MON to oferuje.

Jest i J. Edigey — „Strzały na rozstajnych drogach". Seria kryminalna „Czytelnika". Jamnik i colt jej godłem. 60 tys. nakładu. Zaczyna się w „spokojną noc", kiedy: *Taka deszczowa pogoda to dla milicjantów chwila wytchnienia. Chuligani nie lubią rozrabiać w czasie deszczu, pijak też jakoś szybciej trzeźwieje i prędzej trafia do swojego mieszkania. Nawet złodziej nie kwapi się wychodzić „na robotę". Za zimno i za mokro.* Ale... Temu „ale" poświęcony ciąg dalszy dzieła. Osobiście wydaje mi się, że pijakowi wszystko jedno, a nawet się mówi: „barowa pogoda". Gdybym zaś był fachowym złodziejem, to bym wszystkie „roboty" w deszczową pogodę załatwiał, skoro to dla milicjantów chwila błogiego wytchnienia. I nie byłoby żadnego „ale". Cena 20 zł. I tak kupią.

Jak ktoś woli lekturę bliższą istniejącym gdziekolwiek realiom, polecam „Gangsterów" S. Mierzeńskiego. O amerykańskich układach przestępczych, o gangsterach od ośmiu lat życia wzwyż. Autentyczne ich zdjęcia. Żeby książka nie była za gruba i za droga na wakacje? Tylko że ona ma blisko 500 stron i kosztuje 35 zł. Kupią. Powinni.

A propos autentyk. Seria „Autentyk" wydawnictwa „Iskier" oferuje wspomnienia Anny German z jej pobytu we Włoszech aż do momentu tragicznego wypadku. Kariera piosenkarska i w ogóle. „Wróć do Sorento?..." — zatytułowane. 12 zł. Nie kupią, bo jak się ode mnie dowiedzą, już nie będzie.

Nieśmiertelny Bohdan Arct bywa i kokietliwy: *Stary, łysy i szczerbaty. To właśnie ja, autor pracy, którą, mam nadzieję, przeczytacie do końca.* Dalej uzasadnienia, m. in. — *Łysy, bom powyrywał sobie włosy, czytając własne książki.* Nie ma to jak humorek. „Powietrze pełne śmiechu". Lotnicze humory z różnych okresów, zdarzonka rozmaite, zebrane z książek i własnych wspomnień autora. 10 zł. Wiejskie humory droższe. 18 zł. J. Ofierski — „Za Kierdziołkową miedzą". Znamy z radia i telewizji. Przeczytamy. Ale nie ja, na razie. Czasu nie mam, a i w pracy jestem. Dopiero jak na urlop pojadę. Zdążę chyba. 60 tys. nakładu.

W serii „Iskier" — „Fantastyka. Przygoda" zainteresowała mnie książka L. Součeka „Znak jeźdźca" (tłum. z czeskiego L. Piotrowski). Bohaterowie *w puszczy brazylijskiej poszukują obecności Wikingów, a w grotach islandzkich drogi do środka ziemi* — głosi zapowiedź wydawnicza. Piramidalne zapewne historie, za 12 zł. Mnie, pracownika niniejszej redakcji, zainteresowała ta pozycja ze względu na postać niejakiego doktora Kamenika. Nic nie zmyślam. Ponadto okazuje się, że można taniej książce dać atrakcyjną okładkę. Atrakcyjną handlowo.

Stanisława Fleszerowa-Muskat napisała opowieść pt. „Wczesną jesienią w Złotych Piaskach". A — co ważniejsze — wydała ją po cenie humorów wiejskich, w „Wydawnictwie Morskim". Rzecz z życia wyższych sfer, przeważnie zagranicznych: Max, Ezyka, Maritie, Missis. Dla płci obojga. Dla dorastającej zaś płci żeńskiej jest Krystyna Sielicka. „Ludzie jak wiatr" — w „Wydawnictwie Harcerskim". Więc dla dorastających harcerek. Tylko 13 zł. *Studium rodzącej się pierwszej prawdziwej miłości, pierwszej zazdrości, pierwszych rozterek wyboru* — reklamuje sama autorka na skrzydełku obwoluty. Moja zatem rola skończona. Wobec Sielickiej i w ogóle.

Tak to wygląda. Dużo tego, tych tytułów nowych w przeddzień urlopu, w połowie czerwca? Raczej nie za wiele, choć nie całkiem nic, ale nie za wiele, nawet gdybym coś przeoczył lub gdyby coś wyszło w tak zwanym międzyczasie. Książki popularne, które nie „schodzą" poniżej 20 tys. nakładu. Które zostaną wykupione tak czy inaczej. O walorach rozrywkowych, poziomie rozrywki, nie wypowiadam się, bo nie czytałem. Przeglądałem tylko. A co zostało napisane, to na odpowiedzialność szefa.

Warszawa dostaje bezpośrednio z wydawnictw atrakcyjne tytuły, oprawi wydawnictwo z tysiąc egzemplarzy i puszcza na rynek stołeczny, na kiermasze, zanim tytuł pójdzie w Polskę, a tamtejsi księgarze robią interes — skarżono się na mym łonie. Bo ja wiem, czy tylko i czy w ogóle o to chodzi? Może o czasowe odpowiednie rozłożenie fali nowości rozrywkowych? Święta, ferie, urlopy, wakacje — to są dobre okazje dla intensywniejszych poczynań edytorskich w tym względzie. A może właśnie odwrotnie — dla zwiększonego nasycenia rynku książką poważną? Tak z „gwiazdkowym" Joycem było. Ja się nie znam, pytam tylko. W dodatku naiwnie.

Póki co, mam radę dla urlopowiczów. Skoro trochę za mało aktualnej rozrywki literackiej na półkach księgarskich, niech sięgną po sieriozną prozę młodych, której dużo w księgarniach, choć nakłady jej niskie, kilkutysięczne, i choć okazy jej wydane często przed paroma laty, objętość niewielka, a cena najwyżej kilkunastozłotowa.

Mały realista, Adam Augustyn — leży na półkach: „Mój przyjaciel Staszek" (1967, 10 zł), „Poganin" (1967, 10 zł). Bogdan Loebl — „Upał" (1965, 10 zł). Remigiusza Napiórkowskiego pół regału. Krzysztofa Nowickiego „Droga do ojca" (1967, 10 zł) plus wizerunek smutkiem powleczonego oblicza autora na skrzydełku obwoluty. Tadeusza Mikołajka skolko ugodno (od 9 do 16 zł). Maciusia Patkowskiego „Sobótki" — nagroda trzeciego stopnia, zafundowana przez wysoką instancję za twórczość artystyczną w 1963 roku. Może dlatego leży, że nakład wyjątkowo aż 30 tys.

Ludzie jakoś nie chcą czytać. Dlaczego wszak? Wyrzekając głównie na młodą literaturę, Maciąg stwierdza: *Między osobistym losem czytelników a książkami, jakie czytają, nie ma żadnej wewnętrznej więzi, do rzeczywistości psychicznej współczesnego Polaka literatura ta właściwie nie dociera — o tym wiedzą i autorzy, i czytelnicy. Nie oczekują tego od niej, przyzwyczaili się uznawać to za stan naturalny, traktują literaturę jak jeden z tych*

Dokończenie na str. 11

Godz. 18.10.

Restauracja „Opocznianka", reprezentacyjny lokal miasteczka. Brudno, tumany dymu papierosowego, w jadłospisie większość dań wykreślona. „Może być tylko żurek i kaszanka" — stwierdza kelnerka.

Do stolika przysiada się pan Józio-Złoty Ząbek. Powierzchowność nieszczególna. Długie baki. Spojrzenie podrywacza z przedmieścia. W uśmiechu — złoty siekacz w górnej szczęce.

— Gdzie lecicie?

— Wrocław.

— Co wieziecie?

— To, co zawsze.

— Aha. A ja do Łodzi, po coś tam.

— Tak żeśmy i myśleli.

— Co jemy, panowie?

— Co jest.

Godz. 18.20.

Na stole cztery talerze żurku. Z podwójną porcją chleba.

— Pytała się o pana, panie Józiu — mówi pan Edzio.

— Kto się pytał?

— A ta. Blondynka. Z długimi włosami.

— Ta ruda, co ją woziłem?

— Ta. Była u dyspozytora, pytała się o pana. Mówi, że jej pan dziecko zmachał. Drugi miesiąc.

— E...

— Tak mówi. Gdzie on jest, powiada do dyspozytora, ten ze złotym ząbkiem, co z nim parę razy jeździłam? Więc chyba o pana chodzi, panie Józiu?

— E! e! e! Ona chyba zgłupiała! Ja? Co, ja? Ja jej, cholery, palcem nie tknąłem. Podwiozłem parę razy do domu i tyle.

— Ja tam nie wiem, jak było.

— Panie Edziu, jak Boga kocham, co się dzieje...? Ja przecież... Panie Edziu, ja się żenię za dwa tygodnie. Garnitur już szyję w spółdzielni. Co ta zgaga chce ode mnie? To już nie można nikogo do domu podwieźć? Mów pan więcej, co ona?...

— A ja nie wiem, co więcej. Co wiedziałem, powiedziałem. Co więcej, to już pana głowa.

Godz. 19.00.
Na trasie do Piotrkowa.

— Wszystko nieprawda z blondynką — chichocze kierowca. — Dla draki cała mowa. Za karę. Niech się nauczy koleżeństwa, szoferak. Było tak — raz i drugi: stoimy z kolegami na przystanku, wyszliśmy z bazy po robocie, a ten akurat leci „Nyską" do miasta. No więc każdemu się spieszy do domu, nie? Machamy rękami — ale... gdzieeee. Ani spojrzał. Kolegów nie dostrzega. Binokle czarne założył, ta koło niego, panie, z rozpuszczonymi włosami, artystkę zgrywa. A koledzy nieważni. To koledzy postanowili ukarać chłopaka. Co go teraz który spotka na trasie, plotkę mówi. Niech się podenerwuje, jak był ważny.

Kierowca przekroczył niepisany kodeks obyczajowy. Musi odpokutować.

Godz. 22.10.

Baza noclegowa PKS w Wieluniu. Wszystkie restauracje i bary w miasteczku już od dawna zamknięte na głucho. Przyjeżdżamy głodni, kierowca jest zmęczony prawie dziesięciogodzinną jazdą. Nocleg niedrogi — osiem złotych od osoby. Tyle, żeby zwrócił się koszt prania pościeli. „Sypialnia" na piętrze starego, odrapanego budynku. W długiej, mrocznej sali upchnięto szesnaście łóżek, ustawionych „po małżeńsku", żeby zaoszczędzić miejsca. Do późnych godzin nocnych ściągają tutaj „ciężarowcy" z pomocnikami i „osobowi" z konduktorami. Ludzie zachowują się cicho, kładą się i szybko zasypiają. W ciągu dnia odwalili kawał ciężkiej roboty.

„Ciężarowcy" są w lepszej sytuacji od kolegów z autobusów. Mogą się wyspać do woli, odpocząć. Są przecież „wolnymi ptakami trasy", ludźmi, którzy nie są skrępowani tak sztywnymi rozkładami jazdy jak ci, którzy obsługują ruch pasażerski. Nie muszą bez względu na porę roku, pogodę i temperaturę wstawać o piątej rano żeby zapewnić innym dojazd do pracy. Ale za to „osobowi" są bliżej swoich domów, przypadek nie rzuca ich codziennie w inny koniec Polski, mogą łatwiej planować wolny czas, prowadzić normalne życie rodzinne.

— Tak, tak — mruczy zasypiając pan Edzio — na kierowcę ciężarówki trzeba mieć w sobie coś z Cygana...

Wtorek, 2 czerwca.
Godz. 7.30.

Wyjechaliśmy z Wielunia 45 minut temu. Po drodze kilka miasteczek, wsi i osiedli, ale znowu wszystkie mijane restauracje, liczne gospody „Samopomocy Chłopskiej", zamknięte na cztery spusty. Kierowca wyjeżdżający wczesnym rankiem na trasę wie, że przez najbliższe dwie, trzy godziny będzie musiał prowadzić wóz o pustym żołądku, że dla oszukania głodu będzie palił papierosa za papierosem, że po kilku latach czeka go sondowanie żołądka i — nierzadko — pobyt w sanatorium. W dużych miastach otwiera się wcześnie bary mleczne, ale nie zawsze można postawić wielki samochód w pobliżu jadłodajni — komplikowałoby to ruch uliczny. A odejść daleko od samochodu kierowca się boi. Pełni przecież także funkcję konwojenta. Odpowiada finansowo za ładunek. W drodze powrotnej z Wrocławia, na trasie od Opoczna do Lublina (ok. 160 km, prawie cztery godziny jazdy) spotykamy tylko jeden kiosk, w którym można dostać suche bułki i popić je... „Mandarynką".

Uczucie głodu, dłużące się kilometry trasy, można wypełniać chyba tylko rozmowami, a właściwie nieprzerwanymi monologami, w których kierowcy celują. I trzeba przyznać, że najczęściej opowiadają barwnie, ich opowieści są nieszablonowe, pełne humoru, często... autoironii. Na odcinku pomiędzy Wieluniem a Wrocławiem wysłuchuję opowieści pana Edzia:

1) o tym, jak kiedyś jadąc nocą przez las chciał złapać napotkanego na szosie borsuka i został przez niego fatalnie pogryziony,

2) o nauczycielce zamordowanej pod Wieluniem przez jej kochanka — technika drogowego z Puław,

3) o sprawiedliwości jaką wymierzył dawny pomocnik kierowcy, niejaki Tadzio, znany osiłek, gdy na drodze napotkali chłopa, który bił żonę. („Tadzio dosunął wtenczas staremu taką lampę, że chłop zleciał do rowu, a potem musiał babę grzecznie przeprosić, w ręce i nogi pocałować"),

4) o tym, jak zimą przez wiele godzin wyciągał nocą napotkany autobus PKS, który utknął w zaspie i w którym tkwili zmarznięci na kość pasażerowie.

Każda z tych opowieści mogłaby się stać tematem osobnego reportażu.

Godz. 10.00.

Wrocław. Pomieszczenia „Motozbytu" przy ulicy Kamiennej. Opróżnienie samochodu z ładunku zajmuje kierowcy i pomocnikowi jedną godzinę. Nie ma tutaj robotników-ładowaczy i brak jest mechanicznego podnośnika. Dwaj ludzie spuszczają palety po specjalnej, składanej pochyłni, która wchodzi w skład wyposażenia ich „specjalizowanego" samochodu. O godzinie 11.00, po niespełna dwudziestoczterogodzinnej podróży, motocykle dotarły z fabryki w Świdniku do odbiorcy we Wrocławiu.

Zaś przed kierowcą jest teraz 450 kilometrów trasy powrotnej. W czasie jazdy przekształci się jeszcze dodatkowo w... agenta przewozowego. Będzie zajeżdżał do placówek Przedsiębiorstwa Spedycji Krajowej we Wrocławiu czy Piotrkowie Trybunalskim i oferował przewóz towarów do Lublina. Jest wszak teraz na „pustym przebiegu" i powinien postarać się o zarobienie dodatkowych złotówek dla swojego przedsiębiorstwa.

Zjedzą z pomocnikiem obiad w restauracji „Długołęka" pod Palm Polem, zanocują w hoteliku PTTK w Opocznie, w środę o dziesiątej rano będą z powrotem w Lublinie. Być może, będzie czekał ich już następny wyjazd, do Olsztyna, Koszalina lub Krakowa. Pozostanie wówczas tylko kilka godzin na zobaczenie się z rodzinami i znów wyruszą na trasę.

— Ciężka robota, Wiesiu — powie być może wówczas pan Edzio, ale jak się kto urodził Cyganem, to też i trudno by mu było bez niej żyć. Otwieraj „chałupę", wsiadamy i jedziemy...

— Jak jedziemy, szefie, to jedziemy, nie ma rady — odpowie Wiesio.

Mirosław Derecki

Kamena str. 7

Teatr im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie. S. I. Witkiewicz — „Sonata Belzebuba", Stefania Massalska (Ciotka Istvana) i Zdzisław Kozień (Baltazar)
Fot. Fr. Myszkowski

Festiwale moja miłość...

Maria Bechczyc-Rudnicka

FESTIWALE teatralne. Tytuł nie jest ironiczny. Ile je trzeba kochać, te festiwale, ten tylko pojmuje, kto widział je w różnych miastach, a pragnąłby w swoim. Bo festiwal zespołów studenckich, chociażby zaprojektowany na skalę międzynarodową, to jednak nie to. Minęły już lata, kiedy teatry zawodowe musiały zazdrościć zespołom studenckim „odwagi" i „świeżości". Dzisiaj u nas teatrowi zawodowemu również wszystko wolno, byleby umiał przed nowym sezonem powiązać koniec z końcem. Toteż nawet państwowy teatr wojewódzki, pilny wykonawca planu usługowego, gdy natrafi na taką pozycję, jak „Dziś do ciebie przyjść nie mogę", ma już potem w buchalterii zielone światło i do Różewicza, i do Witkacego... i do Bordowicza, i do Grzegorzewskiego.

Nie brak szaleńców bożych i teatrom zawodowym, a przewagę teatry te nad studenckimi mają wiadomo jaką: dysponują aktorami bądź co bądź po szkołach teatralnych, nie zaś paru uzdolnionymi i chętnymi jednostkami. Tedy — im więcej przyjaciel TEATRU zobaczy spektakli zawodowych, lepszych czy gorszych, tym jaśniejsze wyrobi sobie pojęcie o stanie i możliwościach współczesnej sztuki teatralnej w Polsce.

Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi. Zygmunt Krasiński — „Irydion", Chór Niewiast, w środku Ryszard Zuromski (Heliogabal)
Fot. Fr. Myszkowski

Tak, to prawda, lubimy festiwale. Jest w nich osobliwa odświętność — bez nudy. Nie w tym jednak rzecz, że jak Student u Szaniawskiego chcielibyśmy po prostu, żeby było barwnie, żeby było wesoło. Chodzi przede wszystkim o konkretne, dające się skalkulować uintensywnienie życia artystycznego miasta.

Proszę o chwilę uwagi dla tej kalkulacji.

W bieżącym sezonie 1969/70 r. Teatr im. J. Osterwy w Lublinie wystawił w sumie 10 pozycji. Są to: „Czarna komedia" P. Shaffera (wbrew zwyczajom zaliczam premierę sierpniową), „Ballada o tamtych dniach" Grodzieńskiej i Jurandota, osławione „Dziś do ciebie przyjść nie mogę", „Pan Jowialski", „W pustyni i w puszczy", „Świętoszek", Różewiczowski „Akt przerywany", „Szósty lipca" Szatrowa, jeszcze Różewicza — „Śmieszny staruszek" i „Apetyt na czereśnie" Agnieszki Osieckiej.

W ciągu dziesięciu dni X Kaliskich Spotkań Teatralnych, które były w istocie prawdziwym festiwalem z prawdziwym jury i realnymi nagrodami, miasto Kaliszanin, które jest śliczne, ale tylko powiatowe, zobaczyło TRZYNAŚCIE SZTUK w wykonaniu DZIESIĘCIU TEATRÓW (jedenasty, Wrocławski Teatr Pantomimy z „Odejściem Fausta", poza konkursem, wycofał się). A oto, co owe teatry pokazały kaliszanom:

Teatr im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu — Słowackiego „Sen srebrny Salomei", Teatr Dramatyczny im. Adama Mickiewicza w Częstochowie — „Dwa teatry" Szaniawskiego i „Balladynę", Teatr Współczesny im. Edmunda Wiercińskiego we Wrocławiu — „Samuela Zborowskiego", Bałtycki Teatr Dramatyczny w Koszalinie-Słupsku — Witkacego „Jana Macieja Wścieklicę" oraz Brechta „Pana Puntillę i jego sługę", Teatr Nowy w Łodzi — „Życie snem" Calderona, Teatr im. J. Osterwy w Lublinie „Akt przerywany" Różewicza, Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze — swego patrona „Śmierć gubernatora", Teatr Polski w Poznaniu — „Elektrę" Sofoklesa i „Bar Wszystkich Świętych" Broszkiewicza, Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie „Dom na Pacyfiku" Gerarda Górnickiego, Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi — „Irydiona" Krasińskiego.

A co? Jak to się mówi — aż ślinka cieknie.

Z kolei na nieco skromniejszych (ilościowo) XIII Rzeszowskich Spotkaniach Teatralnych można było w ciągu kilku dni czerwcowych obejrzeć osiem inscenizacji, zaprezentowanych przez osiem teatrów: przez krakowskie — Teatr Słowackiego i Teatr Stary, przez Teatr Polski z Wrocławia, Teatr im. Żeromskiego z Kielc, teatr katowicki („Zmartwychwstanie" Tołstoja w opracowaniu Lidii Zamkow), teatr z Koszyc (w związku z Dniami Kultury Słowackiej), lubelski Teatr Osterwy („Akt przerywany"), no i przez gospodarzy — Teatr im. Wandy Siemaszkowej.

Niestety, mogłam zabawić w Kaliszu zaledwie dwa dni na początku festiwalu, ponieważ rozpoczynał się właśnie Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych, w którym miałam uczestniczyć, w Rzeszowie natomiast spędziłam trzy dni końcowe. Ale część spektakli pokazanych w niedogodnych dla mnie terminach widziałam podczas sesji wyjazdowej Klubu Krytyki Teatralnej przy SDP do Łodzi, czy też wcześniej, na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych, bądź właśnie w Zielonej Górze.

Oczywiście wartość koncepcji inscenizacyjnych i sprawność wykonania poszczególnych pozycji kaliskiego i rzeszowskiego „menu" stały na różnych poziomach, fakt ten wszakże nie umniejsza poznawczego znaczenia festiwali dla społeczeństwa Kalisza czy Rzeszowa.

* *

Z prawdziwą przyjemnością wypowiadam zdanie, że na tle obejrzanych przeze mnie ostatnio przedstawień — a było wśród nich na pewno sporo interesujących — lubelski „Akt przerywany" wypadł bardzo korzystnie zarówno pod względem opracowania inscenizacyjnego, jak gry aktorskiej (pisałam o nim w n-rze 7 „Kameny"). Otrzymał on II nagrodę na Kaliskich Spotkaniach — według mnie zasługiwał na I.

Na drugim miejscu w moim „przeglądzie" postawiłabym spektakl „Sonaty Belzebuba" Witkacego zademonstrowany przez rzeszowski Teatr W. Siemaszkowej w reżyserii dyr. Stanisława Bielińskiego i scenografii Wojciecha Krakowskiego. Owo „Prawdziwe zdarzenie w Mordowarze" zostało podane z niemałym nakładem inwencji a z wybornym smakiem artystycznym. Przede wszystkim podobało mi się to, że Krakowski nie wtłoczył scenografii w jakąś supersymboliczną „koncepcję". I choć operował w głównej mierze tekstyliami (niekiedy postrzępionymi, lecz umiarkowanie!), stworzył jednak dwie uczciwe odrębne dekoracje: intérieur o meblach „z epoki" i fajne piekło-kabaret z figurami woskowymi à la panopticum. Zastrzeżenie można by mieć tylko do infantylnego kostiumu Krystyny, który utrudnił p. Barbarze Koziarskiej spełnienie jej zadania aktorskiego w roli ówczesnej szesnastoletniej panny moderne.

Wykonano „Sonatę Belzebuba" w autentycznym stylu witkacowskim — na wpół drwiąco, na wpół serio. Są pyszne sytuacje, jak np. zlokalizowanie aktu erotycznego za rozpostartym czarnym skrzydłem fortepianu, przy akompaniamencie dyszkantowego kwilenia strun, no i zwłaszcza — rozegranie „genialnej" sonaty środkami plastycznymi tudzież choreograficznymi".

Interesująco dekadencki jest Bogdan Kiziukiewicz w roli kompozytora Istvana, wręcz znakomity, pełen diabolicznego temperamentu Zdzisław Kozień jako Joachim Baltazar de Campos de Baleastader; według przyjętego modelu femme fatale gra Hildę Urszula Nowacka. Józef Jachowicz wykazał się dużym poczuciem humoru w roli maminsynka, barona Sakalyi, szczególnie w odsłonie III, mając za partnerkę Zofię Gorczyńską, która zręcznie zbudowała postać Baronowej — matki na tonku wyniośle ironicznym. Babcię Julię, uprawiającą praktyki wróżbiarskie, gra z powodzeniem (może jednak trochę zbyt serio w akcie I?) Irena Żuromska. Wesoły na sposób wytworny jest dyplomata Don Jose Intriguez de Estrada w wykonaniu Stanisława Bielińskiego, zabawnie zaprezentowała Ciotkę Istvana w minach i ruchach Stefania Massalska, z wzorową piekielną subordynacją dały sobie odrąbać ogony diabły (Henryk Gonda i Adam Fornal) i niewątpliwie należy się komplement Lokajowi (Jan Stawarz) za przekomiczne wyskoczenie ze zdaniem w gwarze.

Koncertem aktorskim był spektakl „Ceny" Arthura Millera w wykonaniu „kwartetu" z krakowskiego Starego Teatru w składzie: Bolesław Smela (Wiktor Franz, mąż, funkcjonariusz policji), Halina Kwiatkowska (Estera Franz, żona), Wiktor Sadecki (Walter Franz, brat Wiktora, lekarz), Jerzy Nowak (Gregory Solomon, handlarz meblami).

„Cena" to tragikomedia obywatela USA, który nigdy nie umiał „skoncentrować uwagi na pieniądzach". Akt I zajmuje i bawi w głównej mierze dzięki niebanalnej postaci Solomona, handlarza matter of fact, ale z podkładem filozofii życiowej. W II akcie napięcie słabnie z winy autora, który zapuszcza się w zawiłości psychologiczne, co na gruncie USA niekiedy zbytnio odrywa pisarstwo od rzeczywistości. W ogóle antynomia: poświęcenie — wyłączna troska o los własny została ustawiona wadliwie, bo ojciec, dla którego syn zrezygnował z wykształcenia, eksploatował go po prostu z obawy przed swoim totalnym bankructwem.

Reżyseria Jana Paradowskiego tym razem bez ekstrawagancji, scenografia, piękny bric-à-brac do wyprzedaży, i tu — trwale modnego Wojciecha Krakowskiego.

Omówienie „Pierwszego dnia wolności" wyreżyserowanego przez dyr. Jerzego Krasowskiego we wrocławskim Teatrze Polskim, a pokazanego niedawno w Rzeszowie, odkładam do najbliższej okazji, albowiem korci mnie, by zestawić z tym spektaklem udziwnioną inscenizację „Śmierci Gubernatora" w Teatrze im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Pociągnie to za sobą rozważania, w których tytułem egzemplifikacji muszę dotknąć jeszcze kilku spektakli widzianych ostatnio poza Lublinem.

Dni Muzyki Kameralnej po 10 latach

Klawesyn i... 1500 akordeonistów

Cecylia Błońska

ZAKOŃCZONE niedawno w Łańcucie X Dni Muzyki Kameralnej skłaniają do rozmyślań nie tylko odświętnych i jubileuszowych. Podnosząc z dużym uznaniem wieloletnie starania kierownika artystycznego Filharmonii im. Artura Malawskiego w Rzeszowie — Janusza Ambrosa, dyrektora Józefa Maronia, kierownika literackiego Klemensa Gudla, walnie wspieranych pomocą Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz resortowego wydziału WRN, chwaląc splendor występów 14 zespołów zagranicznych, które w ciągu tego X-lecia koncertowały na łańcuckiej estradzie wraz z 30 zespołami polskimi, z udziałem około 150 znakomitych solistów — pragnę równocześnie zwrócić uwagę na przyszłość tego festiwalu, rysującą mi się w innych kategoriach.

Obiektywne trudności, nie dopracowane do końca koncepcje i kontakty PAGART-u sprawiły, iż w tegorocznych „Dniach" nie uczestniczyły zespoły zagraniczne. Siedmiodniowy program wypełniły w całości występy zespołów polskich, zainaugurowane znakomitym wykonaniem „Glorii" A. Vivaldiego przez kameralny zespół instrumentalno-wokalny Filharmonii rzeszowskiej pod batutą J. Ambrosa, z udziałem światowej sławy klawesynistki Aimeé van de Wiele (jedynej artystki spoza kraju).

Cechą charakteryzującą tegoroczne zespoły jest ich niewątpliwa m ł o d o ś ć. M. in. kwartet im. Grzegorza Fitelberga z Katowic powstał w r. 1967, w tymże czasie działalność artystyczną podjął, słynny już dzisiaj, Kwartet Wilanowski. W r. 1962 zaczął koncertować Kwintet Warszawski oraz łódzka orkiestra kameralna Pro Musica zrzeszająca absolwentów PWSM w Łodzi, pozostająca pod patronatem Stowarzyszenia Jeunesse Musicale de Pologne. Z obchodami Tysiąclecia Państwa Polskiego łączą swe początki Cantores Minores Wratislavienses. Również uderzający był młody wiek zdecydowanej większości solistów występujących w „Łańcucie 1970".

W równej mierze cieszyło mnie widocznie odmłodzone audytorium, przybyłe tu z wielu części Polski. I oto dlaczego niektórym sugestiom obradującej w ramach Dni sesji wyjazdowej Zarządu Głównego Sekcji Krytyków SPAM, zorganizowanej staraniem Oddziału w Rzeszowie — przeciwstawiałabym inne koncepcje. Nie tylko więc nie wyłączę w roku przyszłym z udziału w koncertach młodych słuchaczy, wychowanków szkół muzycznych oraz miłośników muzyki, organizując dla nich jakieś osobne „popołudniówki", a przeciwnie, na długo przed przyszłoroczną imprezą dołożyć wszelkich starań, by odbiorcami Festiwalu byli przede wszystkim ludzie młodzi. Nie tyle odświętność naszego życia muzycznego, ile jego złożona i nie zawsze zadowalająca c o d z i e n n o ś ć za tym przemawia.

Przy ogromnym rozwoju sieci szkół muzycznych w tym regionie (który otrzymać ma również ogólnokształcące liceum muzyczne, filię wyższej szkoły muzycznej), przy nieograniczonych w zasadzie możliwościach działania ognisk artystycznych, jakże często stykamy się z jaskrawym, dojmującym brakiem kultury muzycznej.

W ramach odbywającego się obecnie Wojewódzkiego Przeglądu Powiatów w Rzeszowie wyposażone w wymyślne instrumenty, w najnowocześniejszą kosztowną aparaturę wzmacniającą, produkują się młodzieżowe zespoły z ambitnych skądinąd małych powiatów, z niezamierzoną zapewne karykaturą koncertów światowych orkiestr tego typu. Zenujący poziom tej, jakby się wydawało, całkowicie nie kontrolowanej „muzyki", świadczy o braku jakiejkolwiek konsultacji ze strony instruktora, specjalisty, nauczyciela muzyki. W małych rzeszowskich miasteczkach ten okrutny hałaśliwy, muzyczny bełkot nadaje ton, kształtuje gusta. To właśnie każe zatroszczyć się o jakieś w z o r y, o sensowny, szerzej dostępny pokaz muzyki uprawianej w innej formie.

Ongiś, zaczynając Dni Muzyki Kameralnej, organizatorzy zamierzali uczynić z Łańcuta coś w rodzaju poligonu dla podejmujących ten genre zespołów. Czas wykazał, iż wcale bujnie powstają one samorzutnie i że w Rzeszowie — co dowiodła sesja — również jest sporo miłośników kultywujących w mniejszych zespołach wielką muzykę.

Gdybyż więc Dni roku 1971 przenieść do Rzeszowa, nie sugerując się tak bardzo niezastąpionymi urokami muzykowania w zamku — muzeum; zwłaszcza iż przy setkach tysięcy turystów sam Łańcut nie jest w stanie zapewnić uczestnikom festiwalu godziwych posiłków, odpowiednich noclegów.

Natomiast reprezentacyjna a przy tym o znakomicie intymnej atmosferze sala i pomieszczenia nowoczesnego rzeszowskiego Domu Technika, wspaniała aula średniej szkoły muzycznej, nieczynna — a jakże akustyczna — mała sala Teatru im. Wandy Siemaszkowej z estradą, znakomicie pomieściłyby i odświeżyły imprezę (zanim przejmie ją będąca w budowie rzeszowska Filharmonia).

Na miejscu, bez trudów dojazdu, do woli słuchać będzie mogło znacznie więcej osób, przy czym zespół kilku sal — których również nie sposób wygospodarować w Łańcucie — pozwoli na urządzanie kilku koncertów dziennie, na dyskusje, w których jako żywo, uczestniczyć winno całe rzeszowskie środowisko muzyczne: muzycy Filharmonii, doświadczeni organizatorzy oświaty muzycznej, a także, wychowankowie szkół muzycznych z całego kraju.

Warto również wznowić towarzyszące imprezie w pierwszych latach pokazy dawnych instrumentów — nie tylko unikalnych organów w leżajskiej bazylice — uroczych klawesynów, starych jakże dyskretnie a wspaniale brzmiących instrumentów.

Być może, iż takie Dni Muzyki Kameralnej, mające wszak już swą ustaloną światową sławę, d a d z ą też n i e c o do m y ś l e n i a owej jakże rwącej się do muzykowania, chętnej i pracowitej półtorastyleczej rzeszy akordeonistów, stanowiących obecnie ponad połowę wszystkich wychowanków rzeszowskich ognisk muzycznych.

Dni Muzyki Kameralnej Łańcut 1970. Inauguracyjny koncert kameralnego zespołu instrumentalno-wokalnego rzeszowskiej Filharmonii pod batutą Janusza Ambrosa. Na pierwszym planie śpiewaczki-solistki: Zofia Janukowicz i Ewa Werka.
Fot. Jerzy Jawrzak

Piotr Mach

Miłość życia

W chwili groźnej walki padli zranieni odłamkami: żołnierz i ptaszek. Przybiegli sanitariusze. Powiedział: „Bierzcie innych, ja popełznę dalej..."

I popełznął. Ziemia zdawała mu się żywym i nieskończonym oceanem. Podźwignęła go na piersiach, po falach-trawach niosła do tyłu. A dokoła — skakały ptaszęta, takie małe, że nie zauważył ich żołnierz...

I nagle ręka dotknęła czegoś żywego. „O, dziwo: ptaszek!" Przez głowę przemknęło: „I krew? Moja?... Nie, nie! To ptak zraniony na polu walki". Skrzydło złamane, jedno oko — zakrwawione. A drugie jak iskra płomień-prośbę wbiło w niego i wielki ból, czekając, co żołnierz z nim zrobi.

Ten wziął ptaszka i przytulił go do piersi, aby ogrzać maleństwo. I pełznął... A gdy walka ustała, ludzie zobaczyli obok okopów żołnierza, który usnął na wieki trzymając na piersiach życie — ptaszka...

Rosy

Cicho opadają na odurzającą trawę. Łagodny chłód łąkom niosą. Gdzie jezior zaduma, tam śpiew dziewczęcy nawołuje wciąż chłopców do gorących marzeń...

Po zielonych śladach księżyc śpieszy: „Nie strącajcie rosy, idźcie ścieżką!"

Rozumiem: to wieczór wysłał księżyc, by ten strzegł jego czystości.

Rzeka

Górskie wysokie źródło albo pierwszopromienność rodzą je zawsze, dają wysiłek i kierunek. Rzeka niesie do morza swój radosny podmuch czy troskę, wiosną zmywa brud zimy, w noc sierpniową kąpie gwiazdy.

...Bądź, serce podobne do rzeki, czerp siłę z wysokich źródeł, śpiesz codziennie do ludzi, kąp w sobie wszystkie ich nadzieje.

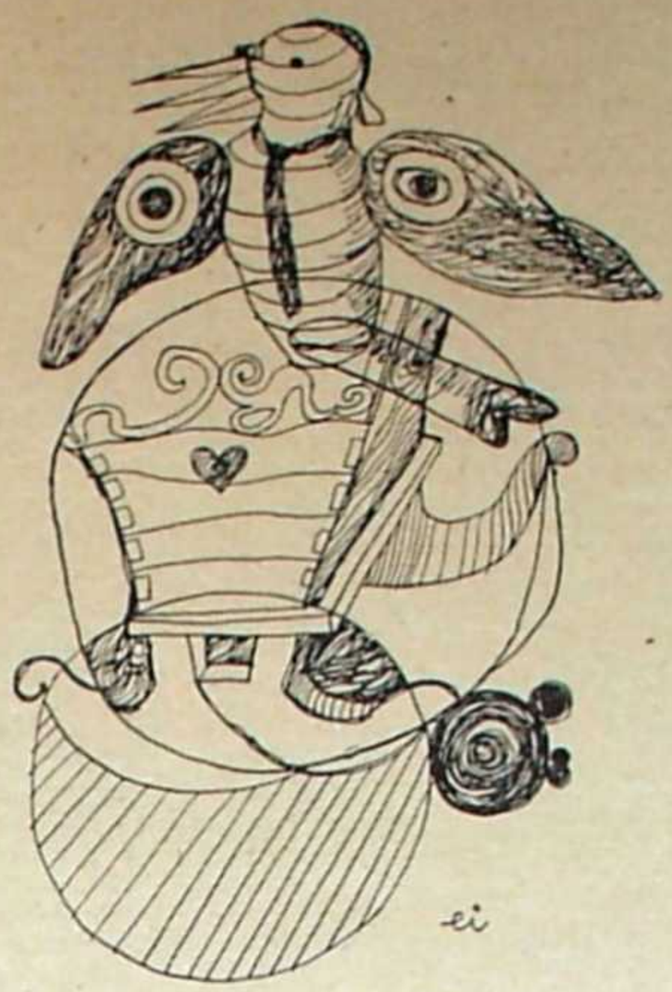

rys. E. Inglot

Mój kosmodrom

Znacie gigantyczny kosmodrom, skąd lecą w górę gwiazdoloty, poruszane przez najpiękniejsze w świecie paliwo — miłość serc, co mają wielkie skrzydła.

Wiem, że jeszcze tysiące ludzi wsławi Ziemię czynem bohaterskim, wiem, że umiłowana Ojczyzna będzie w zmaganiu tym pierwsza! Dlatego do ciebie, serce, mówię te słowa ze szczerości tylko utkane, skąpane w źródle wszystkich marzeń mojego narodu.

„Dla mnie jesteś największą z wielkości i pragnę, aby tryskały z ciebie na świat prawda i czystość pieśniana, miłość niezawodna, wielkie oddanie. A jeśli nie — to będziesz bańką, co tylko po deszczu upiększa taflę wody, co na chwilę jeno czaruje spojrzenie i dzieciom przyda się do zabawy.

Dlatego też, Matko, zawsze i wszędzie pamiętaj, żeś dla mnie kosmodromem pełnym nadziei..."

Brzózka

O świcie wyszła na skraj lasu, przywitała się z młodym dębem. Niebu jasnemu posłała tchnienie, czułość — pochyliła ku ziemi.

Biała — bielutka. Włożyła na siebie pierwszego promienia złotą koronę. Z lubością gięła się, przymierzała. Aż usłyszała: — szepce wiaterek.

„Skąd się wziąłeś? Jak ci nie wstyd!" — robiła mu łagodnie wyrzuty. A psotnik brał brzózkę w ramiona i nawiewał swoje nieodparte: „Słuchaj, miła, jam poryw miłości, na próżno więc teraz złościsz się na mnie"

„Ja się nie złoszczę. Po prostu zawitałeś za wcześnie. Rozumiesz..."

...Nie było jeszcze ranka na skraju lasu, a brzózka znała już miłość.

Z ukraińskiego przełożył
K. A. Jaworski

Piotr Mach podczas niedawnego pobytu w Lublinie odwiedził naszą redakcję. Pisarz mieszka stale w Łucku. Współpracuje głównie z pismami lwowskimi. Powyższe teksty wyjęte są ze zbiorku „Pieśń klonów" (Red.)

rys. E. Inglot

Łyżka

Andrzej Łuczeńczyk

ZIECH pan patrzy — mówiła sprzątaczka, trzymając starego za rękę i pokazując łyżkę milicjantowi. — Widzi pan? Zobaczyłam, jak chował ją do kieszeni, zatrzymałam go i zawołałam pana. Ukraść chciał.

— Nieprawda — zaprzeczał stary. — Nie chciałem ukraść. To jest moja łyżka. Moja własna.

— Cicho — sprzątaczka była już zła. — Do stołówki z własną łyżką przychodzisz, co?

— Tak — stary patrzył na milicjanta spokojnie i ufnie. — To jest moja łyżka.

— Czy on już tutaj kiedyś był? — zapytał milicjant, biorąc łyżkę z rąk sprzątaczki i uważnie ją oglądając.

— Czy był? Przychodzi tu codziennie! Nawet nie pamiętam, od jak dawna. Sam jest, nie ma domu ani nikogo. Przychodzi tutaj na obiady. Dajemy mu jeść za darmo. Za darmo — powtórzyła z naciskiem i ze złością szarpnęła starego za rękę. — A on jeszcze kradnie!...

— Nieprawda. Nigdy nic nie ukradłem. Ta łyżka jest moja.

— A czy więcej nic tutaj nigdy nie zginęło? — zapytał milicjant, z uwagą oglądając starego.

— Czy nie zginęło?... Nie wiem. Takich rzeczy jak łyżki nigdy nie liczymy.

— Hm...

— Nigdy nie myślałam, że ktoś może kraść łyżki.

— Różnie bywa. — Milicjant zastanawiał się nad czymś. — Czy na tej łyżce jest jakiś znak? — zapytał wreszcie.

— Znak? — zdziwiła się sprzątaczka. — Jaki znak?

— Że łyżka pochodzi z tej właśnie stołówki.

— Nie... Nie ma. Nie robimy takich znaków.

— To źle. Nie mogę mu w takim razie nic udowodnić.

— Więc jak będzie? — zapytała sprzątaczka.

— Musicie poznaczyć łyżki. Jakbym złapał go z łyżką znaczoną, to wtedy wszystko byłoby jasne.

— Znaczyć wszystkie łyżki?! Zaraz — pobiegła do kuchni wróciła z nożem. Wzięła od milicjanta łyżkę. — Zamiast znaczyć wszystkie, wystarczy jak naznaczę jego.

— Może być — zgodził się milicjant. — Najważniejsze, że będzie znaczona.

— Nie! — powiedział stary. Powiedział cicho, ale zabrzmiało to jak jakiś stłumiony półokrzyk. — Nie. Mojej nie znaczcie. Przecież to moja łyżka. Moja własna.

Ale sprzątaczka skrobała już coś nożem na trzonku.

— Masz — podała wreszcie łyżkę staremu, a stary wziął ją machinalnie.

— W porządku — powiedział milicjant. — I proszę codziennie sprawdzać. Gdyby chciał wynieść inną, wtedy... — spojrzał na starego znacząco.

— Nie będę chciał wynieść — odpowiedział stary, unosząc na chwilę głowę, ale zaraz opuszczając ją znowu. — Nigdy nic nie wyniosłem. Od kiedy tylko zacząłem tutaj przychodzić, zawsze miałem tę łyżkę. Swoją własną.

Nazajutrz, kiedy stary skończył już jeść i wytarłszy starannie łyżkę, chciał schować ją do kieszeni, podeszła do niego sprzątaczka.

— Pokaż! — zażądała. I stary, niechętnie, pokazał.

— Co to? — zdziwiła się.

— Nic — odpowiedział stary. — Ułamałem tylko kawałek trzonka, gdzie był ten znak. Tak też będzie można ją poznać.

Mały człowieczek

Kazimierz Niechoda

MAŁEGO człowieczka budziła baba nadzwyczaj brutalnie. Wymierzała mu kuksańca w bok, a gdy to nie pomagało, okładała go gdzie popadło packą na muchy. To drugie zawsze odnosiło skutek. Mały człowieczek zrywał się, mrugał wystraszonymi oczyma i kulił się bojaźliwie. Czasami wymamrotał nieśmiało — A ty, babo, czego niby? A baba na to — Ty pijanico! Ty zbóju! Ty antychryście! Babę tak bardzo złościł fakt, że mały człowieczek ciągle nie miał stałego zajęcia zarobkowego. Był to dusza nie człowiek, spokojny i łagodny jak jagnię. Jego jedyną słabostką było to, że lubił wypić i zabumelować. I dlatego też nie mógł utrzymać długo żadnej roboty. Jego baba sprzedawała na bazarze pestki słoneczników i dawała mu z litości miskę zupy, nigdy nie zapominając zaznaczyć przy tej okazji, że jest na jej łaskawym chlebie.

Każdego ranka wychodził mały człowieczek do miasta w poszukiwaniu pracy i gdy miał szczęście, to spotykał kogoś, kto mu postawił. Wtedy, dziękując pokornie, upijał się szybko, bo miał bardzo słabą głowę. Potem zastanawiał się długo, jak trafić do łóżka, uniknąwszy razów. Rzadko mu się to zresztą udawało, bo baba zastępowała drogę na progu i puszczała w ruch packę na muchy. Mały człowieczek bał się baby okrutnie, a packę na muchy znienawidził serdecznie. Pewnego razu, korzystając z nieobecności baby w chałupie, schował packę za kufer. Baba bardzo szybko spostrzegła ten brak. Podparła się władczo pod boki i powiedziała groźnie — Ty pijanico, gdzie packa? Mały człowieczek niewinnie wzruszył ramionami. Jednak gdy baba chwyciła za pogrzebacz, pomyślał sobie, że z dwojga złego lepsza już packa, i skwapliwie wyciągnął ją zza kufra.

Kiedyś najął się mały człowieczek do pracy przy goleniu nieboszczyków. Nastręczył mu tę robotę szwagier Szpos, który był pielęgniarzem w dużym szpitalu. W takim dużym szpitalu umiera sporo ludzi, więc zawsze znajdą się chętni do golenia. Robota była prosta, klienci nadzwyczaj zdyscyplinowani. Leżeli spokojnie i cierpliwie czekali na swoją kolejkę. Więc mały człowiek bardzo sobie chwalił tę pracę. Z początku tylko czuł się trochę nieswojo, bo nie przywykł na śmierć patrzeć z bliska. Po pewnym czasie jednak nie robiły już na nim wrażenia ich żółtawe, nieruchome twarze.

Po skończeniu roboty mył dokładnie ręce, inkasował 20 zł od twarzy i szedł do baru na ciepłe piwo i precle. Zamawiał na zapas trzy duże i precle dobrze obsypane makiem, bo takie najlepiej uwydatniają smak piwa. Siadał gdzieś w kącie, popijał piwo, zagryzał preclami i wspominał kobiety, które poznał w swoim życiu. Najczęściej tęgą Mariolę. Gdy on nosił jeszcze w zębach koszulę, Mariola była już prawie panną. Idąc ulicą, dumnie wypinała pełne piersi. Kręciło się koło niej wielu kawalerów. Jeden z nich, taki bubek z miasta, obiecał małemu człowieczkowi procę, jeżeli na ulicy zadrze Marioli spódnicę. Proca była naprawdę pierwszorzędna, więc skusił się mały człowieczek. Zaczaił się przy furtce i zadarł jej luźną spódnicę wysoko, że zabieliły się grube uda. Mariola miała krzepę niezgorszą. Palnęła go pięścią w głowę, że padł plackiem i świeczki stanęły mu w oczach. Pochlipując przyrzekł wówczas sobie, że za nic w świecie nie będzie więcej zadzierał pannom spódnic.

Wspominał mały człowieczek przy piwie swoją pierwszą miłość — urzędniczkę z banku, która miała rude włosy i okrągłe biodra. Często czekał przed bankiem i godzinę, aby przez chwilę popatrzeć na te rude włosy i okrągłe biodra. Szedł potem do swojej klitki na poddaszu, wypijał kubek podłego wina i, leżąc na łóżku, długo w noc zastanawiał się, dlaczego on nie może być bankowym urzędnikiem i patrzeć dowoli na rude włosy i okrągłe biodra. Dochodził do wniosku, że to brak wykształcenia nie pozwala mu zrealizować marzeń.

W szkole, do której uczęszczał mały człowieczek, uczył emerytowany policjant. Bardzo dziwnie uczył. Prężył się na baczność przed tablicą i krzyczał — Ani mru mru! Bo i w morde dam! Kiedyś uczniowie spytali go, dlaczego gra radio. Nauczyciel zmarszczył czoło, rozmarszczył, zaczerpnął powietrza i ponownie zmarszczył tak silnie, że oblał się potem i poczerwieniał na gębie. Nic jednak widocznie nie wymyślił, bo machnął zrezygnowany ręką i wrzasnął — Ani mru mru! Bo i w morde dam! Niezbyt on solidnie uczył. O, bić, to bił bardzo gruntownie. Wszyscy się go bali. Tylko jeden lizus miał dobrze. Ten lizus uważał siebie za bardzo mądrego, bo czytał encyklopedię i znał różne obce słowa. Podlizywał się wprost bezczelnie. Kiedyś na przykład powiedział do kolegów, ale tak głośno, żeby nauczyciel usłyszał — Wy, baranie głowy, musicie szanować pana profesora, bo to wielce infantylny człowiek! — Nauczyciel poklepał go wtedy poufale po plecach. — No, no! Ty mi tu nie kadź! I zaraz dodał jakby do siebie — Ale co prawda, to prawda!

Mały człowieczek dopijał piwo. Uśmiechał się do swych wspomnień. Życie jest piękne i baba ostatnio łaskawsza.

rys. E. Inglot

okolice sztuki

Wyrachowane emocje

SĄDY Wandy Gołkowskiej o sztuce pełne są „układów otwartych", wspierających się na teoriach probabilistycznych i stosownych cytatach z „Summa technologiae". A w praktyce malarskiej miast uciekać kwiaty i fioletowe pejzaże, co zgodne z tradycją przytoi niewieście, Gołkowska manipuluje klockami, nie dochodząc na domiar wszystkiego do żadnych trwałych, raz na zawsze uporządkowanych kompozycji plastycznych. Twierdzi przy tym, że „raz na zawsze" jest w sztuce dzisiejszej anachronizmem, spadkiem po idealistycznych poszukiwaczach rozwiązań najdoskonalszych, koronujących wykoncypowane hierarchie.

Ten pogląd ilustruje przy pomocy obiektów plastycznych, do których, podejrzewam, ma stosunek dwuznaczny, co sugerują takie jej słowa: „Realizacja jest epigońska w stosunku do myśli — koncepcji"; wypowiedziane trzy lata temu, słyszalne wówczas, dziś fonią w potakujących komentarzach „efemeryków".

Kilka tych „epigońskich" realizacji pokazała Gołkowska w czerwcu w salach lubelskiego Biura Wystaw Artystycznych; towarzyszyły im prace nieco odbiegające od naszkicowanego tu programu wrocławskiej artystki (urodzonej w Rzeszowie, a kształconej w Uniwersytecie Wrocławskim i tamtejszej PWSSP).

Wyczerpującą dokumentacją wspomnianej postawy jest „Szesnaście sześcianów" z 1967 r. Na poprzeczne szczebelki, osadzone w białej ramie, nanizano kilkanaście identycznych klocków: po jednym, trzy, cztery — bez żadnej porządkującej układ reguły kompozycyjnej. Klocki pomalowano w poprzeczne paski, każdy tak samo, nie ma to więc nic wspólnego z malarstwem, raczej wzmacnia współrzędność elementów. Ich przestawianie przyniesie nowe układy — ani lepsze, ani gorsze, które teoretycznie można mnożyć w nieskończoność.

W potocznym rozumieniu słowa „znaczyć" układy otwarte Gołkowskiej są bezsensowne. A jednak są znakami: określonych operacji intelektualnych, specyficznego pojmowania sztuki. Mogłyby w ogóle nie istnieć w tej postaci, można by je z powodzeniem zastąpić notatką koncepcyjną, szkicem — tak są „nieplastyczne". Bo w gruncie rzeczy mamy do czynienia ze zmaterializowanymi pojęciami, swoistym ersatzem myślowej struktury.

Inaczej działają — zmysłowo i na zasadzie wielowątkowych skojarzeń — „Tablice" Gołkowskiej; nie tak, jak poprzednie, sterylne, ujawniają autorską indywidualność śladami czynności z rejonów klasycznego niemal malarstwa („Tablica ze strzałką"), pojmowanego dostatecznie szeroko, łącznie z monochromatycznym reliefem.

Charakterystyki te nie obejmują całej, wielopostaciowej twórczości Wandy Gołkowskiej. Nie ulega przy tym wątpliwości, że pokaźnej części dorobku artystki wrocławskiej nie można pominąć przy wszelkich rozważaniach wokół polskiej sztuki, mówiąc umownie, sejentystycznej, co w równej mierze dotyczy także Jana Chwalczyka, który w sąsiedniej sali BWA wystawiał równocześnie z Gołkowską.

Chwalczyk urodził się w Krośnie nad Wisłokiem, studiował we wrocławskiej PWSSP, jest dziś jednym z czołowych artystów Wrocławia. W roku 1966 uczestniczył — razem z Gołkowską — w puławskim Sympozjum Artystów Plastyków i Naukowców, o czym przypominam, lokalny patriota.

Od lat zainteresowany optyką, szerzej — fizyką współczesną — Chwalczyk posługuje się światłem jako integralnym składnikiem dzieła. Czasami źródło światła jest umieszczone wewnątrz przestrzennej konstrukcji, mamy wówczas do czynienia z obiektem świetlnym (niektóre tzw. reprodukcje addytywne), przetwarzającym światło białe (poprzez odbicie od odpowiednio pomalowanych ścianek), na kolorowe smugi, dodające się w przestrzeni i na krzyżówkach form.

W innych wypadkach Chwalczyk oświetla ekran reflektorem zewnętrznym, co stwarza potencjalne możliwości wywoływania ciągle nowej „reprodukcji" światła — wystarczy zmienić położenie reflektora, a przestrzenne struktury zmontowane w ekran rysują kolejny wzorunek strumienia świetlnego.

W pracach Chwalczyka światło, kolor i materialna forma są wzajemnie powiązane i uwarunkowane, choć światło zdaje się tu pełnić rolę nadrzędną, dynamizującą obiekty i decydującą o ich charakterze wyrazowym. Bo w końcu te rezultaty analitycznego, racjonalnego postępowania autora przynoszą fakty artystyczne, które nie wymagają od odbiorcy spekulatywnego nachylenia, znajomości określonego kodu, wiadomego tylko twórcy i wtajemniczonym z najbliższego otoczenia. Praca „P-4" z 1967 r., pokazana w 1968 roku na głównej wystawie „Przestrzeń — Ruch — Światło" we wrocławskim, krótko istniejącym Muzeum Sztuki Aktualnej, oddziaływała w sposób bezpośrednio zmysłowy, nie wstydząc się nawet tego, że w odbiorczej wyobraźni mogła przypominać „coś" z terenów pozartystycznych.

W Lublinie Chwalczyk pokazał też kilka kartek maszynopisu, na których sformułował tzw. model pojęciowy obiektu, przewidzianego do realizacji w ramach sympozjum plastycznego „Wrocław 70". Model ten zawiera m. in. „wstępne opracowanie układów optycznych dających efekt widma słonecznego", rojący się od cyfr całkowicie niezrozumiałych dla przeciętnego „miłośnika sztuki", i jest — jak stwierdza artysta — integralną częścią całej pracy, poświęconej, dodajmy, „myśli naukowej".

Chwalczyk w istocie ujawnia zapis aktu twórczego, kierunki swego myślenia i jego determinanty matematyczno-fizyczne, a gest ten mógłby całkowicie zaspokoić wymagania skrajnych wyznawców sztuki niemożliwej. Ale nie autora.

Artysta zakłada konieczność realizacji Reproduktora Widma Słonecznego, chwytającego światło słoneczne i przekształcającego je „w widmowy, zmienny jego obraz, zakładając cykliczność zmian a zarazem niepowtarzalność". Sam Reproduktor należy traktować tylko jako „narzędzie do uzyskania zjawiska przestrzenno-barwnego, które, być może, zmieści się w pojęciu sztuki". Czyż można wyobrazić sobie bardziej prawdziwy pomnik słońca?

IJK

z bocznej trybuny

Dajcie pieniędzy!

TELEWIZJA miała na sport nie mniejszy wpływ niż na inne dziedziny życia, a może nawet większy. Sportowi przybyły nowe, liczne rzesze sympatyków, bo każdy prawie telewidz ogląda audycje sportowe, zaznajamia się coraz bardziej z tematem, angażuje emocjonalnie. Z drugiej strony wielu bywalców stadionów przestało chodzić na mecze, bo obserwuje je teraz na szklanych ekranach, siedząc wygodnie w domowym zaciszu, głębokim fotelu, w miękkich capach, przy filiżance kawy. Wprawdzie mecz oglądany w telewizorze nie przyniesie nigdy tak autentycznych przeżyć jak mecz widziany z trybun — lecz za to jakie widzi się drużyny, jaki poziom, walka o jaką stawkę... Mistrzostwa świata, mistrzostwa Europy, mistrzostwa Polski, rzadko kiedy niżej.

Frekwencja na drugorzędnych imprezach sportowych spada więc od lat. Brak widzów to pustki w kasach klubów sportowych.

Tymczasem sport jest coraz kosztowniejszy. Rosną wymagania finansowe zawodników i trenerów. Coraz lepszy, zatem i droższy jest sprzęt.

Te trudności nie dotyczą wielkich, bogatych klubów, grających pierwsze skrzypce w kraju. W każdym razie dotyczą w niewielkim stopniu. Nie dotyczą także klubów najniższego szczebla, trenujących rzeczywiście amatorsko i rozgrywających mecze z drużynami z sąsiednich miejscowości. Natomiast kluby o średnim poziomie robią bokami. A gdy już nie wystarcza im sił, rezygnują z pewnych sekcji.

W roku ubiegłym Akademickie Zrzeszenie Sportowe w Lublinie postanowiło rozwiązać — z braku funduszów — sekcję szermierczą. Miejski Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki sprzeciwił się, bowiem jest to jedyna sekcja nie tylko w mieście, lecz i w województwie (ciekawe, że żaden klub wojskowy nie prowadzi u siebie szermierki, mimo że gdzie jak gdzie, ale w wojsku wydaje się ona niezbędna). MKKFiT wspomógł AZS pewną sumą i szermierka jakoś przeżyła rok 1969. Lecz MKKFiT nie może dofinansowywać tych samych sekcji stale. AZS chciał więc rozwiązać szermierkę z początkiem bieżącego roku. Przyjęcie sekcji wraz z zawodnikami zaoferował wtedy nowy lubelski klub sportowy „Energetyk", prężnie rozwijający się, szukający możliwości wejścia na średni przynajmniej poziom wyczynowy. Zarząd Główny AZS znalazł wtedy fundusze na sekcję, być może w obawie przed opinią, że to czego nie potrafią akademicy, potrafią energetycy. Do końca roku 1970 szermierze mogą więc trenować. Czy jednak brak perspektyw na dłuższą metę nie jest czynnikiem zniechęcającym do solidnej pracy?

W podobnej sytuacji znaleźli się piłkarze kolejowego klubu „Sygnał". Reprezentują niski poziom. Komisja sportowa WKZZ zaproponowała klubowi rezygnację z tej sekcji, jako pochłaniającej sporo pieniędzy, a nie przynoszącej żadnych efektów. Komisja WKZZ rozdziela dotacje pomiędzy kluby znajdujące się w gestii związków zawodowych. Do takich należy „Sygnał", który w dodatku nie ma tak hojnego mecenasa w swoim zakładzie pracy jak „Motor" w FSC czy „Avia" w WSK. Kolejarze też pewnie są raczej kibicami II-ligowego „Motoru", a nie A-klasowego „Sygnału". Przystali więc na rozwiązanie sekcji piłkarskiej.

Wtedy jednak do akcji wkroczył MKKFiT. Skoro rezygnujecie z sekcji, zabierzemy wam stadion przy ul. Zemborzyckiej i przekażemy Szkolnemu Związkowi Sportowemu. Po cóż bowiem „Sygnałowi" stadion z boiskiem piłkarskim i bieżnią lekkoatletyczną, skoro posiadać będzie tylko siatkówkę żeńską i pingpong? „Sygnał" stadionu utracić nie chciał, toteż działacze zakręcili się, dostali jakąś tam dotację, trochę pieniędzy otrzymali od członków wspierających i sekcja została utrzymana. Lecz nie wszędzie można stosować straszak. „Lublinianka" zlikwidowała sekcję siatkówki męskiej. Zawodnicy przeszli do AZS. Stadionu na Wieniawie „Lubliniance" nikt nie odbierze, bo byłoby to bzdurą, jako że klub ma wiele innych, mocnych sekcji. Trochę jednak tych siatkarzy szkoda.

Niegdyś mówiliśmy, że sport dzieli się na amatorski i zawodowy. Oficjalnie jest tak do dziś. Faktycznie mamy sport amatorski, sport wyczynowy i sport zawodowy. Obecnie widzimy wyraźnie nowe zjawisko. Wysoko kwalifikowany sport wyczynowy, formalnie amatorski, faktycznie coraz bardziej zbliża się do sportu zawodowego. Tak jest na całym świecie, czego jednak uparcie starają się nie dostrzegać niektórzy działacze Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Tym samym wysokowyczynowy sport „amatorski" oddala się coraz bardziej od sportu wyczynowego niższych klas, który powoli spada do roli zwykłej amatorszczyzny, kopania czy podbijania piłki dla przyjemności, bez wzbudzania emocji miasteczka czy wsi — czego uparcie starają się nie dostrzegać niektórzy działacze niższych szczebli, wołający do „góry": „dajcie pieniędzy, bo będziemy musieli zlikwidować sekcję".

R. W.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Niech i redaktor tej rubryki ma wakacje. Niech mu pozwolą bez słowa komentarza następujące pismo wydrukować:

„Szanowna Redakcjo! Jest nas dwóch poetów z tego samego klubu sportowego, obaj trenowaliśmy boks i występowaliśmy na ringu. Teraz już nie walczymy, jesteśmy na sportowej emeryturze. Ale teraz piszemy wiersze. Mój kolega jest lepszym poetą i dlatego jego wiersz dam pierwszy. Opisuje on swe przeżycia na ringu.

Przyszedł trener z Olszy
Rzekł: Staszek nie bądź gorszy
Staszek — nie bądź zerem
Staszek — zostań bokserem!
Uwierzyłem w swe siły
Ręce wciąż w mordę wality
Nie miałem przeciwnika
Każdy bokser mnie unikał
Królowałem między linami
Ćwiczyłem sprężynami
Aż przyszła na mnie zła godzina
On wbił mi w zęby klina
I choć walkę tę wygrałem
Już pięciu zębów nie miałem
Na zawsze mi się straciły
Oh — boksie ty sporcie niemiły!

Krzyworączka

Mój kolega był dobrym bokserem i miał przeżycia. Ja nie odnosiłem wielkich sukcesów i dlatego pozostałem w cieniu. Ale ja też napisałem wiersz: nie o sobie, ale o Krzyworączce, taki jego monolog.

Niech żyje sztuka i pisanie wierszy
Co je na białej kartce nagryzmolę
Przez nie się czuję jakiś w barach szerszy
Jakbym się pluskał w bokserskim żywiole
Przez nie mi w pięściach rośnie wielka siła
Że świat bym podniósł i rzucił o ziemię
Aby mnie cała ludzkość poczuła
Jak wielkie jest mej poezji brzemię
Więc gdy krzyknięto: Niech żyje sztuka
Zaraz wiedziałem, że to jest coś dla mnie
Bo za wierszami daleko nie trzeba mi szukać
Ale ja szukam strofy co nigdy nie kłamie
Poeta jest jak bokser, co na ringu stoi
Zaraz gong uderzy, zaczną krzyczeć ludzie
I on pięściami broni wierszy swoich
Walczy o swoją prawdę w tym bokserskim trudzie

Łamignat

Takie są nasze wiersze. Droga Redakcjo! wydrukuj je. My piszemy nie dla pieniędzy, ale dla sławy. Niech żyje sojusz poezji z boksem!"

Kraina węża Eskulapa

Dokończenie ze str. 1

leży na terytorium ZSRR. W Polsce Roztocze znajduje się niemal w całości w granicach województwa lubelskiego, z drobnym wyjątkiem wybrzuszenia do woj. rzeszowskiego (powiat lubaczowski), przy czym rzeszowska część Roztocza organicznie mocno ciąży do woj. lubelskiego.

Roztocze wznosi się nie za wysoko ponad otaczające je tereny, od kilkunastu metrów pod Kraśnikiem, do kilkudziesięciu pod Frampolem; wysokość ponad poziom morza wynosi od 300 do 390 m (Krągły Goraj i Wielki Dział). Jest to kraina o niepowtarzalnym pięknie, porośnięta gęstymi lasami, poprzecinana siecią rzek i pocięta głębokimi wąwozami, w które bez kompasu lepiej się za daleko nie zapuszczać. Roztocze nie jest bezludne. W obrębie jego leży 321 wsi, a na obrzeżu dwa miasta: Tomaszów i Szczebrzeszyn. Ale nie można sobie tu zaplanować drogi na wprost przez lasy, bo za gęste, bo zbyt głębokie i strome są wąwozy. Więc chodzi się raczej ścieżkami, wąwozami — i gdy gdzieś w leśnym pustkowiu rozgałęziają się, a my wejdziemy w niewłaściwą odnogę, możemy zajść do punktu oddalonego o 10 czy więcej kilometrów od celu naszej wędrówki.

Roztocze jest północną granicą występowania wielu rodzajów fauny i flory południowej oraz południową granicą wielu rodzajów północnych. I tu właśnie ci reprezentanci północy i południa spotykają się. Żyją obok siebie rośliny charakterystyczne dla gór Skandynawii i rośliny stepów Ukrainy. Klimat też odrębny: dużo opadów (do 750 mm rocznie), długie, mroźne zimy, na nartach można jeździć, gdy w pobliskim Lublinie, Rzeszowie czy Sandomierzu dawno zapomniano o śniegu — i gorące lata, najwięcej dni słonecznych w Polsce w roku (mimo tylu opadów!).

Roztocze zawsze przyciągało ludzi swoją urodą. Stanisław Pajdowski, jeden z nestorów lubelskiej turystyki, opowiadał mi o swych wyprawach na te tereny, dokonywanych jeszcze przed pierwszą wojną światową, gdy krainę tę nazywano Roztoką. Już wtedy nie był osamotniony. Dziś przez cały niemal rok w Zamościu, Tomaszowie Lubelskim czy Kraśniku spotkać można na dworcu kolejowym, na ulicach, w restauracji dziwnych dla sceneri małych miast ludzi: w skafandrach, sportowych spodniach i masywnych butach, w kapeluszach ozdobionych różnymi metalowymi znaczkami. Dźwigają ciężkie plecaki, obwieszeni są lornetkami, aparatami fotograficznymi, manierkami itd. To wędrowcy udający się na Roztocze, lub powracający stamtąd. Latem w Zwierzyńcu, Józefowie, Suścu, Szczebrzeszynie, Krasnobrodzie, Narolu i innych miejscowościach organizowane są wczasy, obozy i kolonie. Tu i ówdzie znajdują się stacje turystyczne PTTK i schroniska szkolne. Ludność trzyma u siebie letników na kwaterach, być może jednak bardziej dla względów towarzyskich, niż dla zarobku, jako że wieś tutejsza na ogół jest dość zamożna.

Lecz Roztocze pozostało do dziś krainą dla turystów elitarnych, szerszemu ogółowi nie znaną. Mimo takiego pędu współczesnego człowieka do wypoczynku na świeżym powietrzu, wśród nieskażonej i niezniszczonej przyrody. Złożyło się na to kilka przyczyn. Zarówno spora odległość od większych miast, jak też i fakt, że sieć kolejowa jest tu rzadka i nie wszędzie pokrywa się z głównymi szlakami turystycznymi, zaś wiele dróg kołowych dopiero otrzymało twardą nawierzchnię. No i brak jest tu jednej głośnej, rozreklamowanej miejscowości, z dancingami, karuzelą, sprzedawcami lodów i deptakiem, na którym można pokazać się znajomym — a takie elementy działają przecież jak magnes na masowy ruch turystyczny. Jest więc dziś nadal Roztocze, mimo olbrzymiego rozwoju motoryzacji (i niezłego połączenia autobusami PKS z Lublinem, Warszawą, Kielcami i Rzeszowem) bardziej elitarne niż na przykład Kazimierz nad Wisłą, Baranów czy Sandomierz. W małych miasteczkach, osadach i wsiach wypoczywają na ogół ludzie ciężko pracujący, zmęczeni hałasem i nerwowym pośpiechem wielkich miast, szukający ciszy i spokoju. Uczeni, artyści, pracownicy nowoczesnych zakładów przemysłowych, krótko mówiąc głównie ci, którzy muszą dokonać latem solidnej regeneracji sił przed czekającymi ich nowymi zadaniami — a nie dokonają jej przecież w tak gwarnym Zakopanem, Sopocie, czy Giżycku, a także wytrawni turyści, idący z mapą w ręku na poszukiwanie zabytków historycznych, architektonicznych i przyrodniczych.

Na Roztocze pojechałem na konferencję zorganizowaną przez lubelski oddział redakcji „Słowa Powszechnego" i oddział powiatowy Stowarzyszenia „Pax" w Zamościu, a poświęconą problemom turystycznym tego regionu. Uczestniczyło w niej kilkadziesiąt osób, przedstawicieli świata nauki, władz administracyjnych i gospodarczych, władz i działaczy turystycznych oraz dziennikarze. Zastanawiano się przede wszystkim nad tym, jakie kroki organizacyjne, inwestycyjne i propagandowe przedsięwziąć, by większa liczba ludzi wypoczywała w tym rejonie. Temat obrad mógłby zmartwić wszystkich, którzy przyjeżdżają na Roztocze głównie z uwagi na możliwość znalezienia tu odosobnienia od tłumów. Na szczęście Roztocze jest obszerne i może wchłonąć jeszcze wielokrotnie więcej przybyszów sezonowych niż dotychczas, a i tak nie powinno się tego zbyt wyraźnie odczuć. Zresztą dziś mamy już takie doświadczenia dobre i złe, że powinny one pozwolić na racjonalne zagospodarowanie turystyczne terenów dziewiczych czy pół dziewiczych, uniknięcie tłoku i niedopuszczenie do dewastacji przyrody.

Ach, ta przyroda! W sposób suchy, zwięzły, lecz jakże fascynujący mówił o niej doc. dr Dominik Fijałkowski z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej. W krótkiej relacji prasowej nie sposób byłoby wyliczyć tych wszystkich nie istniejących gdzie indziej, czy rzadkich uroków natury, jakie występują tu licznie. Lasy bukowe. Lasy jodłowe, charakterystyczne dla dolnego regla w górach. Świerki — wszystkie formy z Tatr. Jodła. Jawor. Lipa szerokolistna. Masa krzewów i runa leśnego typu górskiego. Dziesiątki roślin nie znanych przeciętnemu śmiertelnikowi. Kłoczka, obuwik, kukawka, czosnek siarkawopusznik, wąkrota, rosiczka powszednia (roślina owadożerna, taki żywy lep na muchy), ciemiężyca czarna, oman szerokolistny, wierzba lapońska. Poezja nazw. Może coś przekręciłem, proszę wybaczyć, nie jestem botanikiem. I fauna: wilki, dziki, jelenie, kuny, popielice, głuszce, cietrzewie, czarna czapla, salamandra plamista, rzadkie owady. I rzeki: Szum, Tanew, Sopot, na których pełno wysokich progów. Na Tanwi, na odcinku 100 m, 23 progi, z szumem spada woda z dużych wysokości. Na Roztoczu istnieje szereg rezerwatów przyrody, jak „Czartowe Pole", „Bukowa Góra", „Obrocz", „Szum", „Maziarka", „Bór Sosnowy" i „Nart-Czerkies". Ten ostatni ma największą w Polsce powierzchnię — 480 ha. Obecnie opracowywany jest projekt zorganizowania tu parku narodowego.

Teren, nie znany szerszemu ogółowi, budzi jednak zainteresowanie ludzi zajmujących się przyszłością turystyki. Dla nich grzbiet Roztocza, po którego północnej stronie występuje klimat atlantycki, a po południowej — kontynentalny, przy tych wszystkich walorach krajobrazowych i gęstej lesistości — to rzadki rodzynek. No i brak wielkich ośrodków — to zaleta na jutro. Dr inż. Lech Radwanowski z Politechniki Warszawskiej mówił o tendencjach w tym względzie występujących w krajach wysoce zurbanizowanych i uprzemysłowionych. Ludzie chcą wypoczywać w ośrodkach liczących około 1 000 osób, a dzielących się na pensjonaty, hotele, kempingi i obozy od 50 osób (bo w mniejszych to każdy po kilku dniach wie wszystko o innych) do 80 (bo w większych turysta czuje się obco). Roztocze ma idealne warunki do organizowania wypoczynku według tego modelu.

Wystąpienie przedstawicielek Wojewódzkiej Pracowni Planów Regionalnych miało dla mnie mniej optymistyczny wydźwięk. Pracownia ma ewidencję terenu (trochę przestarzałą, ale niech tam) i jakąś ogólną koncepcję zagospodarowania go, natomiast brak jakichkolwiek planów szczegółowych. Jeśli więc ktoś uzyska obecnie lokalizację, to potem trzeba ją będzie synchronizować (być może na siłę) z planami szczegółowymi. Pracownia lubelska akceptuje jeszcze (i tu i gdzie indziej) zabudowę domkami kempingowymi, skompromitowaną już w Polsce jako nieekonomiczna i skracająca sezon. (Jeśli to nawet nie akceptacja, a uleganie drobnym inwestorom o nastawieniu partykularnym, fakt pozostaje faktem — ale to już inny temat). Roztocze administracyjnie należy do 6 powiatów. Na naradę przybyli tylko przedstawiciele władz powiatu zamojskiego. Przewodniczący Prez. PRN Władysław Kowal mówił obszernie o tym, jak władze zamojskie przygotowują się do „wybuchu" masowej turystyki na Roztoczu i podawał konkretne przykłady. Ale co w innych powiatach?

Ożywioną polemikę wywołało wystąpienie przedstawicielki jednego z biur turystycznych „biadolącej", że nie może organizować na Roztoczu obozów dla młodzieży, gdyż baza noclegowa jest wprawdzie niezła (lokale szkół), natomiast gastronomiczna niedostateczna. Gdy wróciłem z Roztocza, w Lublinie odbywał się pokaz sprzętu turystycznego, oferowanego przez handel. Wielu przedmiotów, o które ludzie pytali, nie było. Ale był bardzo bogaty wybór namiotów, łóżek polowych, materacy pneumatycznych, kuchenek gazowych, lamp namiotowych, kotłów, garnków, trójnogów. Gdy byłem kilkunastoletnim młodzieńcem, takiego wyboru nie było. A mimo to niejedne wakacje spędziłem pod namiotem, żywiąc się potrawami upiększonymi przy ognisku. Na Roztoczu potrzebne są rozliczne inwestycje. Najcenniejszą rzeczą regionu nie będą jednak nigdy luksusowe pensjonaty, lecz przyroda, mało zmieniona przez człowieka. Dzisiejsza młodzież mieszkająca w wieżowcach z centralnym ogrzewaniem, kanalizacją i bieżącą wodą, pobyt na obozie w głuchym lesie zapewne również potraktuje jako wspaniałą przygodę, o wiele bardziej interesującą niż western na ekranie telewizora, bo przeżywaną osobiście. A że gdzieś w pobliżu zwisa może z gałęzi wąż Eskulapa, dwumetrowej prawie długości, jedyny żyjący w Polsce wąż nadrzewny? Albo że dusi w krzakach jakiegoś gryzonia? To realia, dreszczyk niegroźnej grozy, bo nas przecież wąż nie ruszy.

Romuald Wiśniewski

Kamena str. 10

Kto zacz Dymitr Łazur?

PIOTR Wojciechowski — młody laureat nagrody literackiej im. W. Macha — prezentuje nowy, drugi po „Kamiennych pszczołach", tom prozy pt. „Czaszka w czaszce".* Bohaterem i narratorem obu pozycji Wojciechowskiego jest Dymitr Łazur. Jego dane personalne sprowadzić można do kilku szczegółów: z zawodu inżynier architekt, oficer bez stopnia, eksdyktator, ekswięzień, autor projektu Twierdzy nad Narwią, mąż Darii i „człowiek o czystych rękach", dzięki czemu mógł uczestniczyć w śledztwie przeciw generałowi Kardaszowi.

Opowieść Łazura w „Czaszce" o sprawach osobistych i losach trzaskającego w posadach Cesarstwa została przeprowadzona konsekwentnie w jednej płaszczyźnie narracji. Jest to stylizacja na ten typ gawędy szlacheckiej, w którym celowali pisarze znakomici (J. U. Niemcewicz, H. Rzewuski)... Bohater został wyposażony talentem literackim, żeby mógł przeżyć klimat „fin de siécle'u" nie tylko w wyobraźni architekta zafascynowanego gotykiem, ale zgłębić go duchem poety.

Żywa i barwna opowieść Łazura nie nudzi i nie usypia, wręcz odwrotnie — budzi wiele wzruszeń estetycznych. Łazur swobodnie operuje czasem wspomnieniowym. Stale cofa się w przeszłość, lecz i wybiega w przyszłość w stosunku do umownej teraźniejszości, w jakiej rozgrywa się akcja przygód, będących jego udziałem.

Patrząc na rzeczywistość, Łazur ocenia ją emocjonalnie. Prowadzi swoją opowieść, łącząc prostotę i codzienność mowy potocznej z dyskretnym zdobnictwem, w postaci małej i prawie niedostrzegalnej metafory. Przeplata się w tych samych zdaniach potoczność z przenośnią: „Poznałem ją w Suhatnem w ciężkich, powojennych czasach... A potem jej świat wybuchnął fajerwerkiem stołecznej elegancji, potoczył się torami rautów, galówek, teatrów, rozbełkotał kulturalną rozmową, i ona musiała odejść".

Dymitr Łazur wskutek bliżej nieznanych okoliczności poniósł klęskę, i co więcej — nie może się uporać z przeszłością. Znamy już tego rodzaju bohaterów, można przywołać Lorda Jima. Wystarczy zacytować takie zdania Conrada: „myśli jego były przepełnione walecznymi czynami; kochał te swoje marzenia i sukcesy urojonych czynów..." Łazur przeżył podobne marzenia o wielkości: „pozwoliłem, aby Daria pokochała kogoś, kogo udawałem. Po ślubie nie potrafiłem już czy nie chciałem udawać, rozleciało się wszystko. Książkowy świat przestał być spójnym systemem..." O ile jednak Jim pozostał do końca młodym romantykiem i umiał wyjść naprzeciw śmierci, by uratować wiarę w siebie, Dymitr przeprowadził introspekcję, wyzwalając palubiczne „momenty trzeźwości". Swoją postawę określił niedwuznacznie: „Zmęczony bohater, ale starannie upozowany, teatralną tanią gierką zastawiający pułapkę na romantyzm dziewiętnastolatki. Najgorsze, że już wtedy zdawałem sobie sprawę z kłamtwa swojej pozy..." Łazurowi brakuje żelaznej woli Jima i do końca jest człowiekiem miotanym przez los, człowiekiem, któremu wśród tylu podróży udało się zrobić zaledwie krok w kierunku Darii.

Dymitr Łazur nie należy do ludzi, widzących własną odpowiedzialność w sprawach osobistych. Będąc jednak „człowiekiem o czystych rękach", żąda uczciwości w prowadzeniu śledztwa przeciw gen. Kardaszowi, nawet za cenę życia całej grupy udającej się w Góry Kebabczerskie w celu dokonania wizji lokalnej. Nie można natomiast uwierzyć mu, że uczynił w kierunku Darii realny krok naprzód. To chyba jeszcze jedna iluzja bohatera? Człowieka o wybujałej wyobraźni, typowego reprezentanta epoki „końca wieku"?

Dymitr Łazur pozostanie wewnątrz swoich złudzeń, w przysłowiowym kole bez wyjścia, bo wybudował (oprócz Twierdzy nad Narwią) jeszcze inny bastion, także dla własnych spekulacji filozoficznych, i trudno mu się zmieścić w wymiarach rzeczywistości, która dopuszcza perspektywę jutra. Opancerzony swoim systemem patrzenia na świat, przypomina szczelnie zamkniętą... czaszkę. Tu wkraczamy już w dziedzinę metaforyczności dzieła Wojciechowskiego. Niewątpliwie jedną wielką przenośnią jest ta powieść. W tej kategorii trzeba widzieć bohatera, całą machinę Cesarstwa i wszystkie nonsensy topograficzne.

Oczekujemy na dalsze opowieści Łazura, wzbogacone już o doznania z sądu w Armawirze. Prawdopodobnie Dymitr posłuży się nadal pastiszem, bo obca jest mu zimna ironia i drwina, a poza tym ma wiele serca dla świata, w którym żyje i czeka na powrót Darii.

Zenobia Kitówna

* Piotr Wojciechowski, Czaszka w czaszce, Warszawa 1970.

Krzyżówka nr 13

POZIOMO: 9. debiutował przed 35 laty w Kijowie wierszem „Lilith", 10. do niego strzał, 11. siała baba, 12. zbiór wierszy 9 poziomo, 13. żywioł Conrada, 14. można się na nim opalać, plotkować, 16A nowy wyznawca, 19. ptak drapieżny, 21. w młynie nad tą rzeczką toczy się akcja noweli 9 poziomo, 23. muza pieśni miłosnej, 25. zanim pójdziemy do foyer, 27. jak Wisła..., 29. nieszczęście narodów, 31. w tej miejscowości rozgrywa się akcja dramatu 9 poziomo, 33. konkurent słowika, 34. miesiąc (fonetycznie w kilku językach), 36. kwiat jesienny, 39. jedna z tysiąca osób, 41. środek dojazdu do szpitala, 42. tworzy zatory na rzekach, 43. pogardzany przez współczesnych poetów, 45. powieść 9 poziomo.

PIONOWO: 1. przydaje się na plaży, 2. podtrzymuje (konstrukcję lub drużynę), 3. kwiat cieplarniany, 4. np. trapez, 5. służy do pisania, ale nie tylko, 6. chlubi się Talesem, 7. np. gdy mysz gryzie podłogę, 8. miara czasu, 13. pachnie kiełbasą, 15. angielska miara powierzchni, 16. w cieniu aktorów, 17. gatunek wierzby, 18. czaruje kółkami, 20. gdy szczęście chadza obok, 22. najlepszy system obrony, 24. włoski aktor filmowy (komik), 26. bardzo twarde czerwonobrunatne drewno używane w garbarstwie, 28. nie śpiewa Maria Callas, 30. imię 9 poziomo, 32. angielskie mocne piwo, 35. rodzaj kurtki, 37. droga wyścigu, 38. przywilej detalisty, 40. np. Dama z tasiemką, 42. żywy i mechaniczny, 44. kapral marynarki wojennej.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skrytka pocztowa 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

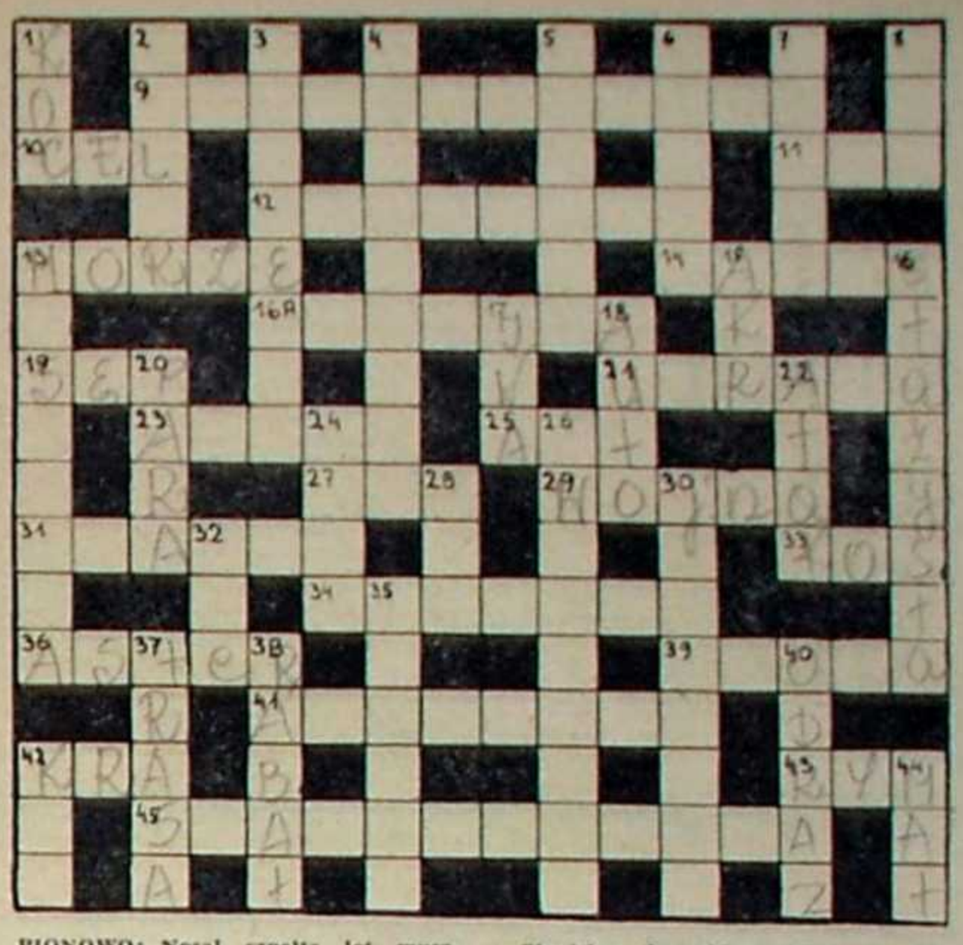

Rozwiązanie krzyżówki nr 11

POZIOMO: Na skalnym Podhalu, szpalta, siewruga, gaz, Dakar, Kudak, Kali, rydz, pszenica, minaret, kapitan, bliźniak, czar, Ikar, warcaby, kosztele, nastrój, Przerwa-Tetmajer.

PIONOWO: Nosal, szpalta, lot, muszkiet, dawca, Legenda Tatr, loki, agrest, Alhambra, dziwak, Krasicki, Ksiądz Piotr, pelisa, antygen, kardan, Jurata, rotor, bojer, alt.

Nagrody za trafne rozwiązania krzyżówki nr 11 wylosowali:

Stanisław Lasocki, Lublin, ul. Pułaskiego 25
Zofia Michalczuk, Biała Podlaska, Pl. Armii Ludowej 4
Alfred Hodoly, Kraków, ul. Litewska 4 m. 3
Zbigniew Zadora, Lublin, ul. Chłodna 6 m. 12

Badacz i źródło historyczne

Dokończenie ze str. 4

dziś, jak chociażby niedawno wznowiona romantyczna niemal historia Jadwigi i Jagiełły pióra Karola Szajnochy.

Rzecz zaczyna się komplikować, gdy chcemy odczytać ową drugą, niezamierzoną warstwę źródła. Pozostańmy przy „Kronice" Galla-Anonima. Dopiero właściwe odczytanie używanych przez autora środków literackich może odsłonić bogactwo wiedzy o dziejach w nich zawarte. Wszelako, aby to uczynić, trzeba rozwiązać całą skomplikowaną gamę problemów, np. retoryki średniowiecznej, owe *colores rhetorici*, to jest odróżnić *ornatus difficilis* od *ornatus facilis*, wydzielić *proemium*, *narratio*, *confirmatio*, *refutatio* i *conclusio*, ustalić wartości figur zawartych w *coma* i w *colo*, ustalić, czy to jest *cursus planus*, *tardus*, *velox* czy też *disponditscus*, co kryje się pod *tropem*, a co pod *toposem*. Chyba tego wystarczy. Jak potem czytać uczone dzieło na te tematy pisane choćby najszlachetniejszym stylem? Pamiętajmy zaś, że tak wygląda nie tylko arsenał średniowiecznych pułapek czekających na historyka, ale także postadają je źródła współczesne. Te zaś zagadnienia dzisiaj coraz bardziej absorbują historiografię.

Sprawa zaś nie jest błaha. Dziś historyk coraz lepiej zdaje sobie sprawę, że nie wolno mu analizować treści źródła bez uwzględnienia obu warstw. Być może, skłania go do tego coraz dalej postępująca dewaluacja słowa pisanego, czego wyrazem zdaje się być w gruncie rzeczy taki bestseller, jak wydana ostatnio powieść J. Joyce'a „Ulisses". Ale to inna już sprawa. Weźmy dla przykładu retoryczny trop, używany zarówno w średniowieczu, jak i dziś: „Wychylił kielich do dna". Słyszeliśmy go ileś razy, ale czy zastanawialiśmy się nad werbalnym znaczeniem tego zdania? Jak można wychylić, czyli odchylić od linii wyznaczającej oś równowagi kielicha, a więc od pionu i to do dna tegoż kielicha? Każdy powie — nonsens. Zatem postawmy pod słowo „wychylić" słowo „wypić" — bo w gruncie rzeczy o to chodzi. I znów nonsens — jak można wypić kielich, a więc ciało stałe a nie płynne i to znów do jego dna! Wiadomo jednak, iż chodzi tutaj o wypicie wina znajdującego się w kielichu i to tak skutecznie, iż zobaczymy dno.

Oczywiście, przykład jest prosty, wręcz banalny, ale zdaje się dobrze ilustrować pułapki, które czekają na historyka. Ten też przykład w pełni uzasadnia stwierdzenie z początku artykułu, iż historykowi nie wolno pisać w zgodzie ze źródłami. Rzecz jasna w zgodzie z ich werbalną, dosłowną treścią. Kiedy papież Innocenty III zawiadamiał hrabiego Montpellier, iż sobór pozbawił go władztwa, list rozpoczynał od słów: *Umiłowany synu!* A przecież pisał do swego wroga, hrabia zaś także nie miał wątpliwości co do sympatii żywionych przez papieża. I dlatego historyk nie może dowierzać źródłom, ale musi je tak jak detektyw poddawać wielorakim doświadczeniom. Ich zaś wynik to niezwykle często inny opis wydarzeń, niż próbuje je sugerować źródło.

Nadzieje na usprawnienie analizy źródła historycznego, ich globalnego odczytywania, wiążą się z rodzącą się dopiero nauką historyczną — źródłoznawstwem. Konieczność jej zbudowania rośnie zarówno w krajach kapitalistycznych jak i socjalistycznych. Jednakże najpoważniejsze osiągnięcia mogą odnotować historycy radzieccy, którzy podtrzymali i rozwinęli istniejące już początki źródłoznawstwa z czasów przedrewolucyjnych w postaci tzw. archeografii. Również nasz polski dorobek jest tutaj wcale nie banalny, poczynając od Marcelego Handelsmana, ze współczesnych zaś prace G. Labudy, B. Kürbisówny czy A. Gieysztora. Spośród zachodnich historyków szczególnie ważki jest głos L. Santifallera, uczonego austriackiego. Najpełniej zarysowane zostało źródłoznawstwo w pracach takich historyków radzieckich jak L. W. Czerepnin, I. A. Bułygin, L. N. Puśkarew czy ostatnio W. I. Strelskij.

Obecnie ścierają się dwa podstawowe punkty spojrzenia na źródłoznawstwo. Jedni sądzą, iż jest to pierwszy i konieczny etap badania historycznego, który polega na uzyskaniu niezbędnych wiadomości o danym źródle lub zespole źródeł. Drudzy sądzą, iż jest to swoisty rodzaj specjalizacji historycznej, związany z analizą szczegółowych problemów, które nasuwa zespół badanych źródeł.

Ostatnimi czasy, zwłaszcza u nas w Polsce, zaczyna zdobywać przewagę ten drugi punkt widzenia. Pierwszy bowiem zakłada to, co obowiązuje każdego historyka na co dzień, jeżeli jego wysiłek ma przynieść rzetelne wyniki. Inaczej, jeżeli przyjmujemy drugi punkt widzenia. Wówczas przed badaczem stoją w zasadzie dwa jasno sprecyzowane cele. Chodzi o uzyskanie teoretycznych wiadomości, które zastosowane w konkretnym badaniu pozwolą przeprowadzić poprawną i wyczerpującą krytykę i analizę źródła, oraz o uzyskanie klasyfikacji źródeł historycznych dla określonego czasu i terenu geograficznego wraz z ustaleniem ich wpływu na dalszy rozwój procesu historycznego.

Stąd „Kronika" Galla-Anonima interesuje dzisiaj historyka jako informacja o wydarzeniach z czasów Bolesława Krzywoustego oraz jako źródło pozwalające poznać ówczesną kulturę. Ale musi go interesować i to np. jaką rolę „Kronika" ta odegrała jako środek propagandy czy też środek masowej informacji (nie interesuje nas tutaj numeryczna liczba odbiorców) zarówno w czasach, gdy pisarz puścił ją w obieg, ale także w czasie, gdy była czytana, czyli praktycznie do dziś, a więc włącznie z balladą o narodzinach Bolesława śpiewaną przez Demarczyk (opartą na motywach z tejże „Kroniki").

Perspektywy tego rodzaju badań, zarówno teoretyczne jak i praktyczne, są rozległe. Aby sprostać tym ambitnym zadaniom, historyk nowoczesny musi być swego rodzaju omnibusem. Musi umieć nie tylko czytać stare pismo, znać język zarówno polski jak i staropolski, ale także umieć operować metodami socjografii, statystyki, psychologii, a nawet obsługiwać maszyny liczące. Oczywiście, w pojedynkę nie podoła. Zespół ludzi wiele może pomóc — stąd tendencje do tworzenia instytutów, zespołów itp. Ale też w miarę zaspokajania potrzeb — rośnie apetyt. Stąd ciągłe dyskusje również w światku historyków, których to dyskusji tylko okruchy przenikają poza zaklęty krąg wyspecjalizowanych profesjonalistów.

Józef Szymański

Relacja księgofilska

Dokończenie ze str. 7

świątecznych kostiumów, w które lubimy się ubierać od czasu do czasu, chodząc na co dzień w zupełnie innych fasonach. Czyż to więc nie rozrywka, urlopowa maskarada, ubrać się w taki świąteczny kostium literacki, gdy na plażę wyjść nie można, bo leje, i gdy przyciężkawa żona uparła się założyć spodnium, bo na wczasach wszystko wolno, nawet udawać Barbarellę czy inną Ładną-Ładną?

Ale Maciąg przesadza w swych globalnych potępieniach. I w młodej prozie bowiem można spotkać książki sięgające „rzeczywistości psychicznej współczesnego Polaka". Trochę dobrych książek, tylko za słabo eksponowanych i reklamowanych pośród czytelników. Ludzie nie wiedzą, kto zacz autor i książki leżą obok rzeczywistych bubli. Bo co w zakresie reklamy młodej prozy robi na przykład prasa codzienna? Jak księgarzom pomaga? Znajdą się zatem i poważniejsze lektury, współczesne dla urlopowiczów. Nie tylko klasycy. Aczkolwiek nie wiadomo, jak ma do tych lektur dotrzeć przeciętny odbiorca. Co stwierdzam na własną już odpowiedzialność, ale czym trudno się radować, oczywiście.

Maciej Podgórski

NAJLEPSZĄ FORMĄ
TERMINOWEGO
OTRZYMYWANIA
„KAMENY"
JEST PRENUMERATA

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — Alicja KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-33, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-33

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; poleconą i ekspresową — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 1715. 17.VI.70. 6.600. Z-3

Listy do KAMENY

Białostockie kicze

Upowszechnienie sztuki nie jest, wbrew pozorom, czynnością jednoznacznie pozytywną, albowiem zdarza się często, że dobre intencje organizatorów przeróżnych wystaw nie mają pokrycia w wartości proponowanych faktów artystycznych. Pod szyldem szerzenia kultury plastycznej przemyca się po prostu najzwyczajniejszą szmirę, wykorzystując w tym celu miejsca szczególnie predestynowane do prezentacji twórczości autentycznej, co automatycznie deprecjonuje te placówki w oczach bardziej wyrobionych widzów.

Od pewnego czasu w białostockim „Klubie 7" udostępnia się publiczności prace malarzy-amatorów, ludzi różnych zawodów, z różnych środowisk społecznych, zrzeszonych w Klubie Plastyka Amatora. Wystawy te organizowane są przez Białostockie Towarzystwo Sztuk Pięknych, Wojewódzki Dom Kultury i „Klub 7".

Trudno odmówić tym pokazom pewnego znaczenia dla popularyzacji amatorskiego ruchu plastycznego. Ale eksponowane prace są po prostu złe, ich autorzy ograniczają się do produkowania nieudolnych ilustracji, rażących bałamutnością i warsztatową nieporadnością. Na ostatnich wystawach powtarzało się w istocie to, co jest następstwem tandetnych upodobań „estetycznych" i nieudolności.

Nie chodzi przy tym o to, aby przedmioty i zjawiska były malowane „jak żywe". Każda przedstawiona w obrazie rzeczywistość, także najbardziej przedmiotowo ujęta, musi zawierać autentyczność przeżycia, minimum szczerości, musi być wyrażona grą malarskich elementów. Tymczasem wszystko to, co rzuca się w oczy na tych wystawach — mimo ukazania rzeczywistości w obrazie z dużą nawet ścisłością — pozostaje nieżywe, martwe, gdyż pracom brak nawet odrobiny autentyzmu, czy jakiej takiej sprawności manualnej.

A zatem są to wystawy smutne, potwierdzające jeszcze raz, że mimo 25 lat wysiłków administracji kulturalnej, ZPAP oraz instytucji zajmujących się propagandą i popularyzacją plastyki, artystów i teoretyków sztuki, w dalszym ciągu szerzy się szmira; jakoś trudno rozstać się wielu ludziom z bezwartościowym kiczem.

Majowa ekspozycja ma jednak charakter pouczający. Płyną z niej bowiem banalne, ale jakże ważne wnioski. Nie każdy, kto potrafi przedstawić na płótni dom, człowieka czy kwiat jest malarzem i to malarzem godnym umieszczenia jego prac w sali wystawowej. Znane są co prawda przykłady z historii sztuki, że amatorzy, traktujący częstokroć malowanie jako niedzielną rozrywkę, okazali się wielkimi twórcami. Okazali się wielkimi, bo posiadali indywidualne widzenie świata, dokumentowane sugestywną formułą obrazową. Malarze „naiwni" (Celnik — Rousseau, Nikifor) w sposób instynktowny kreślili własne widzenie rzeczywistości, często właśnie naiwne, ale swoje własne, niepowtarzalne. Białostoccy amatorzy nieporadnie kopiują niegdysiejsze konwencje, niewiele przy tym mając wspólnego z kulturą artystyczną.

List ten nie jest głosem skierowanym przeciwko amatorskiemu ruchowi plastycznemu, ani przeciwko faktycznym plastykom amatorom. Na wystawach w „Klubie 7" znajdzie się zresztą prace dobre, zasługujące na uwagę — są to płótna pani Jahołkowskiej. Niestety, obrazy takie pojawiają się w tej salce bardzo, bardzo rzadko, tonąc w zalewie towarzyszącego im kiczu.

Chodzi więc o to, by ci, co tę sztukę proponują, zaostrzyli kryteria doboru prac na wystawy, aby zaczęli posługiwać się kryteriami plastycznymi, a nie... statystycznymi („im więcej, tym lepiej"). Bo sztuka jest przecież sprawą poważną, niesie pomoc w poznawaniu rzeczywistości, obdarza przeżyciem estetycznym, pobudza do refleksji nad światem i człowiekiem. A jeśli tak, to organizatorzy wystaw z odrobiną szacunku winni traktować publiczność i realizować każdą wystawę z poczuciem społecznej odpowiedzialności.

E. J.
Białystok
(Nazwisko i adres znane redakcji)

MINUTA MYŚLENIA

Konferansjerzy boisk

SPRAWOZDANIE sportowe jako temat stało się znów aktualne dzięki felietonowi Dygata w „Polityce". Napisałem „znów" i ugryzłem się w palec, ponieważ uświadamiam sobie, że towarzystwo słowa dodanego zapasom sportowym datuje się od czasu starożytnych olimpiad. Ba, niektóre spośród konkurencji, np. rzut dyskiem, odbywały się również z towarzyszeniem fletu, a więc muzyki. Poważny to argument dla teoretyków wywodzących narodziny sportu z ducha igrzysk tanecznych, dopatrujących się w sportowym wysiłku elementów natury estetycznej. Czyżby co innego, niż bliskość genetyczna tych dziedzin kazała przy każdej olimpiadzie, również wielu nowożytnych, urządzać turnieje poetyckie, muzyczne i plastyczne?

Ale mówiąc o sprawozdaniu sportowym nie potrzebujemy sięgać aż tak wysoko. Narodziło się ono z potrzeby przede wszystkim informacji i komunikat, a nie ozdoba jest racją jego istnienia. Z tym jednak, że spośród wszystkich form dziennikarskiej informacji równoczesnej z komunikowanym wydarzeniem, a więc radiowej i telewizyjnej, ta właśnie, która dotyczy sportu, zabiega o maksimum gracji stylistycznej, zgrabny językowy moderunek, a nawet pewne elementy zalet literackich. Właśnie sportu, a nie na przykład wydarzeń dyplomatycznych, które relacjonowane tym stylem znalazłyby się niechybnie w aurze humorystycznej.

A więc słowo sprawozdania sportowego zamierzone dla celów relacji jak gdyby naturalnym odruchem odzyskuje swe parantele artystyczno-olimpijskie. Czy co innego da się wyczytać z emfazy, grandiloksencji, zadyszki wreszcie wielkich mistrzów prasowego sprawozdania sportowego podawanego w podwójnym znaczeniu na gorąco? Wielkich mistrzów, których nazwiska zrosły się z historią biegni, skoczni i boisk, z dziejami fascynujących wydarzeń i zawsze krótkotrwałych karier. Czyż nie osobliwy to gabinet figur woskowych dodany do galerii pierwszych sław zawodniczych?

Osobiście przetywam nie lada satysfakcję sportową, to znaczy mającą coś z triumfu nad czasem, kiedy słyszę pośpieszny rytm słów spikera, goniący tupot nóg zawodnika biorącego swój morderczy finisz. Wprawdzie tu i tam w natłoku różnych potrzeb (informacja, konieczność przeniesienia atmosfery, doping) trafi się gafa, która później przechodzi do historii anegdoty, ale któż z kibiców z lekką jej nie wspomina? Na przykład „szkoda, że państwo tego nie widzą" ma żywot — tak, tak — przeszło trzydziestoletni i jest autorstwa słynnego sprawozdawcy radiowego Trojanowskiego. Imię? A któż by zapamiętał. Tym bardziej, że był to czas, kiedy od Trojanowskich w sporcie polskim aż się roiło.

A więc sprawozdawca sportowy — powtarzam: szczególnie w radio, bo gazeta wychodząc na drugi dzień, lub po paru godzinach relacjonuje w czasie przeszłym, a w telewizji nie ma potrzeby zastępowania głosem efektów wizualnych — to nie tylko reporter, ale przede wszystkim konferansjer. W jego rękach, a właściwie strunach głosowych, nasze pełne doznania sportowej imprezy, z której dynamiką i bogactwem mamy kontakt tylko za pośrednictwem ucha. Oni — współcześni Pindarzy, pierwcy olimpioników, przędą naszej wyobraźni realnie rozgrywającą się baśń piękna, męstwa i siły demonstrowanej w zmaganiach współczesnych herosów. (Stylistkę powyższego zdania proszę potraktować z ulgą należną reporterisko-sportowym enuncjacjom).

Ostatnio zaszła potrzeba wzięcia w obronę Bohdana Tomaszewskiego i uczynił to Stanisław Dygat. Nie jestem zorientowany, dlaczego zaszła, ponieważ jak do rekordu Polski daleko mi do komeraży, których siedliskiem są tzw. środowiska. Przypuszczam jednak, że ani atak nie zagraża powodzeniu lidera, ani zmiana na tej pozycji nie przyniosłaby strat żadnej ze stron. Czyli bezbramkowy mecz o wejście do III ligi. O czym z zainteresowaniem wysłuchałbym sprawozdania Bohdana Tomaszewskiego.

Ijon

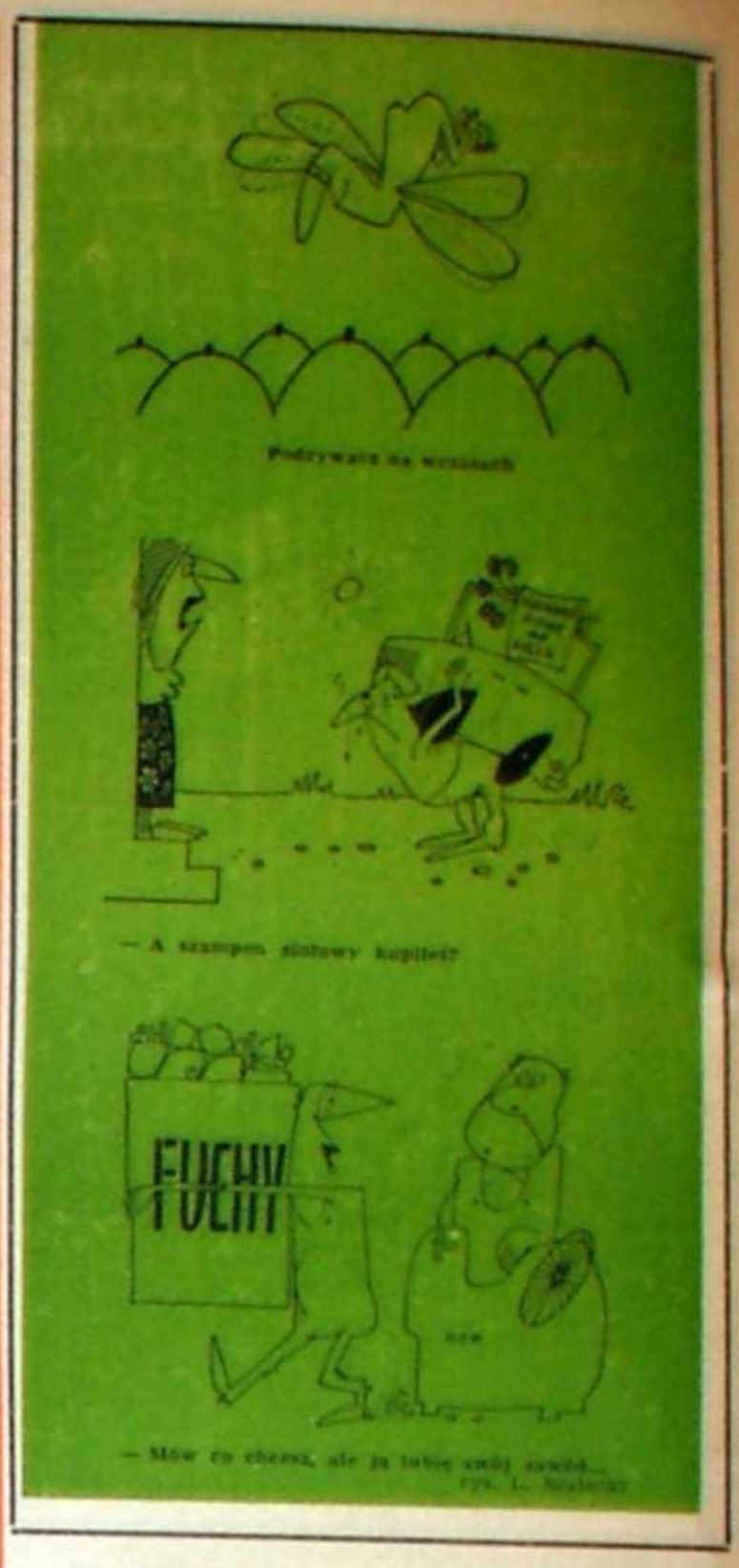

BIG-BEAT

Dla mnie bomba

PANIE Redaktorze! „Na wczasach, w domu, w... biurze przeczytasz ten numer jednym tchem" — tak reklamuje redakcja „Kamenę" (vide: pierwsza strona). Pokazał mi Pan, Redaktorze, makietę (czytelnicy wybaczą, że bliżej nie tłumaczę dziennikarskiego języka, ja się już trochę zdążyłem przyuczyć) i powiedział: „Jacku, ty musisz też coś bombowego napisać". Bombowego! Upalna pierwsza niedziela lata, jestem mokry od potu, plecy przypaliło mi słońce, jeden egzamin zawaliłem, a Pan mi każe wypuszczać półtonowe pociski. Człowiek nie ma siły naciągnąć cięciwy łuku...

Może więc po prostu tak:

„Zaopiekuje się dziewczynkami, wiek 7—14. Lipiec 100 zł dziennie. Oliwa, tel. 52-14-66. Sokolnicka".

Ogłoszenie to znalazłem w „Życiu Warszawy" z 21—22 czerwca 1970 r. Nie znam p. Sokolnickiej, może to jest solidna pani, pełna osobistego czaru, może ją krzywdzę pisząc te słowa. Zastanawiam się jednak: dla kogo są tego typu ogłoszenia. 100 złotych przemnożone przez 31 dni lipca to — jak z prostego rachunku wynika — 3 100 złotych. Dodajmy do tego koszt dwóch biletów kolejowych na trasie Warszawa — Gdynia, jednego Gdynia — Warszawa (matki, która wraca do domu po odwiezieniu dziecka) i wreszcie jednego z Warszawy do Gdańska (po dziecko) i dwóch — Gdańsk — Warszawa. W sumie wychodzi jakkolwiek by liczyć, około 4 000 złotych. Ile rodzin w PRL może sobie pozwolić na taki wydatek?

Przypuśćmy, że p. Sokolnicka może przyjąć na lipiec pięcioro dzieci. Ile wyda na ich utrzymanie? No, niech będzie 5 tysięcy złotych. Miesięczny zarobek na czysto wyniesie 15 tysięcy złotych. Dziękuję, postoję.

Tak się ostatnio składa, że lektura ogłoszeń „Życia Warszawy" stanowi dla mnie najciekawszą rubrykę w tym najzacniej chyba w Polsce redagowanym dzienniku. Żałuję, że nie mieszkam w Warszawie, chętnie poszedłbym tropem niektórych anonsów.

Oto czytam:

„Solidny trzydziestoletni, wykształcenie średnie, przyjmie pracę. Godziny i miejsce dowolne. Oferty: 8481, Biuro Ogłoszeń, Marszałkowska 3/5".

Cóż ja mógłbym zaoferować solidnemu, trzydziestoletniemu panu z małą maturą, który w dowolnych godzinach i w dowolnym miejscu gotów jest podjąć pracę? W kamienicy, w której mieszkam, klatka schodowa nie grzeszy czystością. Sądzę, że lokatorzy złożyliby się po 20—30 złotych miesięcznie, aby tylko owa klatka miała przyzwoitszy wygląd. Żarty jednak na bok. Bardzo jestem ciekaw, kto odpowie na tę ofertę, jakie padną propozycje? Ze swej strony wiem, że w biurach zatrudnienia mamy wolne miejsca pracy dla mężczyzn. Jeśli więc czytacz tego rodzaju ogłoszenie, cuś mi to waniajet...

Ale jedziemy dalej:

„Terenie mieszkania (gar miejski), warunek kellnera dużą, fortepian 1000 zł, tel.: 12-85-20".

Fortepian za 1000 złotych? Panie Redaktorze, może warto kupić na opał? W redakcji są piece i choćby na wilgoć!

Inne ogłoszenie jest już daleko mniej fascynujące:

„Wielką Encyklopedię Powszechną 4 300 zł. Telefon 32-94-05".

Oczywiście, chodzi o sprzedaż. Cena encyklopedii dla subskrybentów (przypominam) — 1800 zł, poza subskrypcją — 2 340 zł. Ktoś chce zrobić dobry interes, na podpałkę więc Wielkiej Encyklopedii kupować nie radzę.

Ale, ale... Panie Redaktorze, może się warto przekwalifikować?

„Ambasada poszukuje lokaja, może być małżeństwo, konieczna znajomość języka hiszpańskiego lub angielskiego, lub francuskiego, włoskiego. Mieszkanie w rezydencji. Zgłaszać się 10—12 — ul. Styki 17/19".

Najbardziej zainteresowało mnie to „mieszkanie w rezydencji". Prosiłbym o dodatkowe szczegóły: sześć pokoi czy siedem? I czy tyle zarobię w tej ambasadzie, że stać mnie będzie na zatrudnienie sprzataczki?

Więcej nie cytuję. Może Pan sobie sam kupić za złotówkę niedzielne „Życie Warszawy". Zobaczy Pan, ilu ludzi chce zamienić M-3, M-4, M-5 na wille lub segmenty. Jestem profan, nie wiem, co to jest ów segment, ale bez tego żyć mogę. Oznajmiam też wszem i wobec, że nie nabędę ani łodzi na dach samochodu, ani zachodnioniemieckiej perkusji „Sonor", ani pigmentu perłowego Nacromor CNC, ani R-18, ani wałców cukierniczych, ani dwóch rewolwerówek, ani tygodnika „Prosto z Mostu" z 1936 r. Ten ostatni zresztą posiadam. Może zdecyduję się na sprzedaż za lat 50. Na razie zbieram bieżące egzemplarze „Kameny" z moimi felietonami. W 2000 roku dam ogłoszenie w „Życiu Warszawy":

„Kameny" z wszystkimi felietonami Jacka sprzedam. Wiadomość: Narutowicza 33, lewa oficyna".

Wyobrażam sobie, co się będzie działo! Kierownicy punktów skupu makulatury pobiją się do utraty przytomności. Ja już teraz tracę przytomność. Nie wiem, czy skutkiem upału, czy lektury tego, co powyżej wypichciłem.

Bomba! Panie Redaktorze! Że co? Niewypał? Ale przeczytał Pan jednym tchem w oczekiwaniu na błyskotliwą pointę! Proszę jednak na nią nie liczyć. Pozostawiam pełną w tym względzie inicjatywę redakcji. Dobranoc!

Jacek

FELIETON Z REZERWY

Na sezon ogórkowy

NIGDY nie byłem w biurze Izby Handlu Zagranicznego, które znajduje się w Lublinie przy ul. Okopowej 5. Wyobrażam sobie jednak, że muszą tam dziać się ciekawe rzeczy. Przychodzą listy z dalekiego świata, oblepione znaczkami, na widok których pociekłaby ślinka filateliście. Z Haiti, Portoriko, Hongkongu, Nowej Zelandii. Padają nazwy egzotycznych miast i portów, towary rozliczą się w jenach, dolarach, rubiach i pesetach. Wyobrażam sobie... Być może zresztą wyobrażam sobie zupełnie błędnie. Być może praca owej placówki wygląda zupełnie inaczej. Ja jednak mogę sobie tylko wyobrazić, albowiem jak sięgnę pamięcią, nie czytałem nic o niej w naszej prasie. Jak nie czytałem zresztą o wielu, wielu innych instytucjach i przedsiębiorstwach istniejących w naszym mieście.

Dziennikarze to grupa zawodowa rzutka, ruchliwa, goniąca za nowościami i nowinkami. Tym bardziej więc dziwne, że przy zbieraniu wiadomości poruszają się ciągle w tym samym kręgu. Oczywiście, są instancje czy problemy, o których pisze się stale i inaczej nie można sobie wyobrazić dobrej prasy. Nie sposób więc nie informować na bieżąco czytelnika o działalności władz głównych organizacji politycznych tego terenu, w którym rozprowadzane jest pismo, czy też władz municypalnych. Takie wiadomości podaje się na całym świecie, gdyż z różnymi krokami tych władz związane są sprawy bytowe obywateli. Nie można pomijać problemów gospodarki komunalnej i zaopatrzenia miasta, a także wiadomości z największych przedsiębiorstw, głównych placówek naukowych, kulturalnych, spraw zdrowia oraz sprawiedliwości i porządku publicznego. Prócz tego i prócz kroniki wypadków, czytelnik chciałby otrzymywać systematycznie, kolejno elementy obrazu, które składają się na mozaikę życia miasta. Niestety, jeśli chodzi o Lublin, pewne sprawy czy instytucje pokazywane są w prasie wielokrotnie, aż do znudzenia, o innych słowach nie wiadczysz latami. A przecież każda ma do spełnienia jakąś rolę. I jeśli nawet jest tylko małym kółeczkiem w wielkim mechanizmie, społecznym, to źle funkcjonując, może przyhamować tempo pracy tego mechanizmu, lub całkiem je zablokować. Dobrze funkcjonując zaś, przyczynia się do sprawnej pracy tego mechanizmu. Na szpaltach gazet chcielibyśmy zatem poczytać nie tylko o kole napędowym i głównych trybach, lecz i o małych kółeczkach. A niestety, nie czytamy.

Kto na przykład z przeciętnych mieszkańców Lublina wie, co robią w mieście Centrala Handlowa Przemysłu Wyrobów Metalowych „Coopexim", Spółdzielcze Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego, delegatura Centralnego Urzędu Geodezji i Kartografii „Geoprojekt" — Zespół Lubelski, „Gazy Techniczne" — Przedsiębiorstwo Przemysłowo-Handlowe, Centralne Biuro Studiów Przemysłu Drobnego „Drobprojekt" (co za nazwa!), Lubelski Związek Hodowli Koni, Lubelskie Okręgowe Przedsiębiorstwo Mleczarskie, Okręgowy Ośrodek Metodyczny, Państwowa Inspekcja Gadlowa, Polski Związek Zielarski, albo Pracownia i Pakownia Barwników do tkanin „Kolorpol", Przedsiębiorstwo Wydawniczo-Handlowe Druków Akcydensowych, Przedsiębiorstwo Usług Reklamowych „Reklama", Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego „Argos" i „Terexport", Przedsiębiorstwo Montażu Urządzeń Chłodniczych i Chemicznych „Mostostal", Przedsiębiorstwo Państwowe Okręgowych Zakładów Transportu Gospodarki Zwierzętami Rzeźnymi, Przedsiębiorstwo Poszukiwań Geologicznych, Przedsiębiorstwo Przemysłowo-Handlowe „Polskie Odczynniki Chemiczne", Przedstawiciel Towarzystwa Ubezpieczeń i Reasekuracji „Warta", Rejonowy Dozór Techniczny, Inspektorat Kontroli Cywilnych Statków Powietrznych, Stacja Przeróbki Tlenu Ciekłego, Stowarzyszenie Autorów, Kompozytorów i Wydawców „Zaiks", Obwodowy Urząd Jakości i Miar, Urząd Celny, Wojewódzki Zakład Higieny Weterynaryjnej, Wojewódzki Zakład Transportu i Maszyn Drogowych, Zakład Naprawczo-Produkcyjny Mechanizacji Rolnictwa, Zakłady Naprawy Sprzętu Medycznego, Związek Pieśni i Tańca Cyganów Mołdawskich, Zespół Usług Projektowych, Spółdzielnia „Zeliwo", Biuro Zbytu Drewna, Biuro Handlu Detalicznego Przemysłu Muzycznego, Biuro Projektów Kolejowych, Biuro Techniczno-Ekonomiczne Międzybranżowego Porozumienia Wojewódzkich Jednostek Drobnej Wytwórczości w Zakresie Zaplecza Naukowo Technicznego (co za nazwa!!!), Przedsiębiorstwo Nawozów Sztucznych „Agrochem", itd., itd.

Powyższe placówki nie zostały przeze mnie wymyślone. Istnieją. Nie jestem tak znakomicie zorientowany, że wiedziałem o nich. Nie, po prostu wyczytałem w książce telefonicznej. Nie mogę zatem zabłysnąć o patent odkrywcy. Każdy z kolegów po piórze może zatem swobodnie łapać się za dowolny temat. O ile oczywiście zechce mu się szukać w książce adresu lub numeru telefonu którejś z wyż. wym. instytucji, co niestety wymaga nieco więcej fatygi, niż zadzwonienie pod numer znany na pamięć, do dyrektora znanego nam już z licznych spotkań i rozmów.

Lipiec to już sezon ogórkowy. Niewiele nowego dzieje się w mieście. Prasa zawsze ma kłopoty spowodowane brakiem tematów. Zawsze miała. W dawnych dobrych czasach dlatego, że tak zwane sfery wyższe wyjeżdżały do wód i nie można było znaleźć interesujących wieści do kroniki towarzyskiej. Dziś dlatego, że wyruszamy masowo na urlopy, więc nie ma zebrań, narad, konferencji. Z braku laku można więc w miejsca zaoszczędzone na sprawozdaniach z posiedzeń, dać trochę wiadomości z owych niedostrzeganych na co dzień ogniw życia publicznego. Czytelnicy przyjmą owe novum wakacyjne oklaskami. Kolegów nienawykłych do pisania ot, tak sobie, dla ciekawości, bez decla w oficjalny ton, mogę zapewnić, że w owych placówkach też zrzasem odbywają się bardzo ważne zebrania.

Paliwoda

Odpowiedzi redakcji

J. J. w Grudziądzu. Z programowego wiersza, w którym usiłuje Pan „zgeszczyć" całą współczesną poezję, płynie wniosek, że sztukę poetycką pojmuje Pan jako tanią konfekcję ozdobną lub też jako miałkie porozkazanie czytelnika. Następne teksty to potwierdzają. I właśnie na to zgodzić się nie można, na owo — by tak rzec — sztukę poetyczną. Chyba nie porozumiemy się, jeśli nie spróbuje Pan dociec przyczyn odrębności i wszystkich zmian, jakie wiek XX wniósł do literatury. Czy to znaczy, żeśmy chwaliły wszelkich „awangardowych" poczynań pisarskich? Bynajmniej. Pochwalamy natomiast kompetencje, rozeznanie w przedmiocie, o którym się apodyktycznie orzeka.

„Kagan" w Rudniku. Humoreski drukujemy raczej rzadko, wyjątkowo. Toteż musiałby Pan długo czekać na publikację, tym więcej, że nie zachwyca nas ta satyrka łatwa — na stosunki wewnątrzzakładowe. Wszyscy to znamy. Niewiele nowego da się z tematu „wyciągnąć". Jeśli już cokolwiek chcielibyśmy „kupić", to trzecią humoreskę pt. „Pozytywny bohater" (po odpowiednich skrótach). Ale i tak w sumie radzimy napisać o poradę do „Szpilek". Bardziej miarodajne źródło oceny.

W. C. w Opocznie. Podzielamy Pani patriotyczne uczucia, jakie narodziły się w związku z osobą majora Hubala. To jest wszystko, na co nas stać w tej chwili. Red. Derecki w każdym razie rozczulił się absolutnie, serdecznie pozdrawiamy, a przede wszystkim autor cyklu „Tropem bohatera majora Hubala".

W. K. w Horodle. Z „przekonsultowania" Pańskich „wierszyków" wychodzi nam, że to twórczość dla dzieci — grzecznych i niegrzecznych, bez różnicy, żarto mówimy, kpinki nam nie w głowie. Co się natomiast tyczy publikacji, to ze względów oczywistych skorzystać nie możemy. Istnieją inne pisma, które się poświęcają tego rodzaju utworom.

J. K. w Aleksandrowie. Czytamy w liście: „Rzadko zapewne wpływają do waszej redakcji listy młodzieży w wieku 19 lat, którzy kochają poezję, kochają przyrodę, jak ja". Dla wyjaśnienia powszechnego — listów młodzieńców i panienek (pardon! — panienek i młodzieńców) w tym wieku lub zbliżonym, twierdzących, że kochają poezję i kochają przyrodę, otrzymujemy bodaj najwięcej. I przeważnie największy z nimi kłopot. Dużo dobrych chęci, szlachetnych intencji i absolutny brak rozeznania, czym się poezja dzisiaj odznacza. Najczęściej zalecamy lektury, lektury i jeszcze raz lektury — właśnie dzisiejszej poezji. Pozdrowienia.

K. K. w Zagrodach. Wydaje nam się, że z nadesłanych „prób" nic dobrego literacka wyjść nie może, choćby się nad nimi pracowało bezustannie. Ckliwe są, rozgadane od podstaw. Trzeba by całkiem inaczej.

W. T. w Lublinie. Ręce opadają, proszę Pana. Tylekroć narzekaliśmy, upominaliśmy, prosiliśmy wreszcie. I co? Ciągle to samo. Stosy nieczytelnych tekstów, których tylko nasze dobre serce nie pozwala wyrzucić do kosza. Odpowiadamy przeto — oceny Pańskich wierszy nie byliśmy w stanie dokonać, albowiem abyt wiele czasu zajęłoby ich odcyfrowanie. Na czym sprawa wyczerpuje się ostatecznie. Kłaniamy się jak najuprzejmiej.

J. K. w Grzowie. Na przykład — „Ach powiedz mi, o Nino, / dlaczego strudzał się? / Czy życie Ci niemiłe? / Czy ja nie kocham Cię?". W tym trybie stanowczo dalej pisać nie warto. Oj, nie! Nigdy!

S. W. w Kielcach. Literatura tak zwana kryminalna musi dbać o drobne realia, o ich prawdopodobieństwo. Pan pisze tak, jakby zupełnie Pan nie znał życia na prowincji w dzisiejszej Polsce. Czary burmistrzów, plebanów i aptekarzy — jako czołowych obywateli miasteczka — dawno minęły.

E. J. w Świebodzinie. Nie skorzystamy.

NOTY i notki

„Pielęgnujmy mowę ojczystą! Nigdy za dużo tego apelu" — wzdycha Mirosława Knorr w „Sztandarze Ludu" („Kultura i Życie" nr 23). I słusznie. Bo kilkanaście centymetrów wyżej Wiera Korneluk takim maślem maślanym zaczyna swój artykuł: „Od kilku już lat (ściśle: od pięciu)..."

Z mieszanymi uczuciami czytałem w „Teatrze" (nr 9) recenzję o lubelskim przedstawieniu „Aktu przerywanego" Różewicza. Pani Marta Fik raz przyznaje, że „inscenizacja lubelska należy z pewnością do głośniejszych premier sezonu", ale zaraz potem ma pretensje, że Różewicz pisał sztukę o niemożności tworzenia, a Braun zrobił z tego sztukę o łatwości tworzenia, co uznaje za poważny zarzut. I taki przekładaniec powtarza się kilka razy, aby się prowincjałom w głowach nie poprzewracało.

Jeśli zaś chodzi o „te sprawy" to chciałbym zapewnić Annę Tatarkiewicz, że strip-tease na początku „Barbarelli" wcale nie jest znakomicie zrobioną i najlepszą sekwencją w tym filmie. Przede wszystkim dlatego, że widz nie zobaczy tam nic więcej, niż na pierwszej z brzegu plaży w Sopocie czy Zagłębiu. Prawdziwy strip-tease — widziało się, widziało — polega na tym, że stripteserka stoi frontem do widzów na sali, a nie do telewizyjnego monitora. Dobrze byłoby także wiedzieć przed napisaniem recenzji („Tygodnik Kulturalny" nr 25), że Vadim miał trzy żony nie dwie „z których spreparował towar na giełdę seksualną" i że Jane Fonda już od kilku miesięcy nie jest jego żoną, o czym donosiła prawie cała prasa polska.

A oto również dziwna recenzja. 7 maja skończyła się Studencka Wiosna Teatralna. „Trybuna Ludu" przypomniała sobie o tym półtora miesiąca później i 28 czerwca (nr 178) — wydanie Al. właśnie dla Lublina) zamieściła recenzję o tej Wiośnie pióra Bogdana M. Jankowskiego. Oszałamiające tempo pracy.

Połowę cotygodniowego felietonu w „Kulturze" (nr 25) KTT poświęcił sprawom sportowym. Gdy zaś zorientował się, że w ten sposób odbiera tematy Bohdanowi Tomaszewskiemu, zajął się zamordowaniem w Łodzi studentki, której nie pomógł żaden z 50 lokatorów domu, w którym mieszkała. Tego samego dnia w „Tygodniku Demokratycznym" (także nr 25) ukazał się reportaż z Łodzi Danuty Frey-Malewskiej, w którym autorka pisze m. in.: „Nie jest też zgodny z prawdą fakt, że w kamienicy nie otworzyły się żadne drzwi, nikt nie pospieszył z pomocą, nie wezwał Pogotowia i MO i że dziewczyna długo umierała na schodach z upływu krwi, daremnie wrzysząc pomocy" — o czym właśnie pisał KTT. Tak to bywa, gdy felietony opierają się nie na sprawdzonych faktach, a na lekturze niedokładnych notatek kryminalnych.

Sławomir Kowalewski też — chociaż na inny sposób — pogardza faktami. Napisał bowiem („itd" nr 500 — a więc jubileuszowy) recenzję z dwóch przedstawień dyplomowych warszawskiej szkoły aktorskiej. Podstawowym obowiązkiem recenzenta jest wiedzieć nie tylko to, jaka sztuka jest grana i kto ją napisał, ale również kto jaką rolę gra na scenie. Kowalewski z pedanterią podaje nazwiska i role dziewcząt — dyplomantek, natomiast gdy chodzi o role męskie aż trzy razy nie wie, który z dwóch dublerów występował. A przecież wystarczyłaby minuta rozmowy z kimkolwiek z zespołu. Dyplomanci już na progu swojej pracy zawodowej spotkali się z nie najlepszymi obyczajami.

W dniu zakończenia roku szkolnego ukazał się nr 25 „Głosu Nauczycielskiego". W całym numerze ani słowa o tym, gdzie i jak nauczyciele mogą spędzić urlopy. Jedyną radę daje jedyne w numerze ogłoszenie: „Pożytecznie spędzisz wakacje na 3-miesięcznych kursach krawiectwa damskiego — lekkiego, plisowania, wypieku ciast...".

Nie jest warte rozstanie się — bez rozwodu — z roną? Autor ogłoszenia w „Życiu Warszawy" (nr 146) ocenił to dosyć wysoko: „Poszukuję natychmiast dwóch pokoi w ładnym nowoczesnym domku (lub pół willi) w cenie trzysta tysięcy złotych dla pokojowej najchętniej przy linii otwockiej". Tylko dla kogo ma być ten drugi pokój?

JOD

Starszyca lubelska „Europa" robi się znana w całej Europie. Do „Orbisu" przychodzą nieraz listy zza granicy zapowiadające wycieczki cudzoziemców chcących zwiedzić Lubelszczyznę. Zagraniczne biura podróży zamawiają na ogół w ich, że nie chcą aby wycieczka mieszkała w „Europie".

Fascynacja „wyzwaniem japońskim" ogarnęła nie tylko obrotnych byznesmenów, ale i redaktora interesującego zawodowego magazynu „Sztandaru Ludu". W numerze z 13 czerwca na 13 pozycji (łącznie z krzyżówką) opublikowanych w magazynie, cztery mówiły o Japonii, i aż jedna o Polsce.

Nad morzem w Ustce — taki podpis umieszczono pod zdjęciami, przedstawiającymi dwie młode dziewczyny w lubowych strojach kąpielowych, stojące niepewnie na wierzchołkach pali. Wbitych w dno morskie. Zdjęcie zamieścił „Kurier Lubelski" z 15 czerwca. Gazeta nie podaje, niestety, czy ma być ono zachętą do podniesienia, czy też obniżenia.

W „Kurierze Lubelskim" z 17 czerwca Al. Leszek Gwiłda pisał, że „Sztandar Ludu" ukazywał się w 1963 r. w nakładzie ponad 60 tys. egz., w pierwszym kwartale br. jednorazowy nakład osiągnął blisko 150 tys. egz. Nasza gazeta „Kurier Lubelski" w 1963 r. wychodziła w nakładzie 48 tys. egz., obecnie ma prawie 50 tys. nakładu. O ponad 1 tys. egzemplarzy zwiększyła w ciągu ostatnich sześciu lat wysokość nakładu „Kameny". Red. Gwiłda natomiast chowuje dyskrecję na temat wysokości nakładu naszego pisma. Nie jest to jednak tajemnica, gdyż wysokość nakładu podajemy w każdej „Kameny". Obecnie wynosi ona 6 400 egz. Niewiele w porównaniu z prasą codzienną, zupełnie dobrze w porównaniu z innymi regionalnymi pismami społeczno-kulturalnymi, zwłaszcza jeśli chodzi o wzrost nakładu, gdyż przed sześciu laty było tylko 2 500 egz. Nie mamy czego ukrywać...

WIR